NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

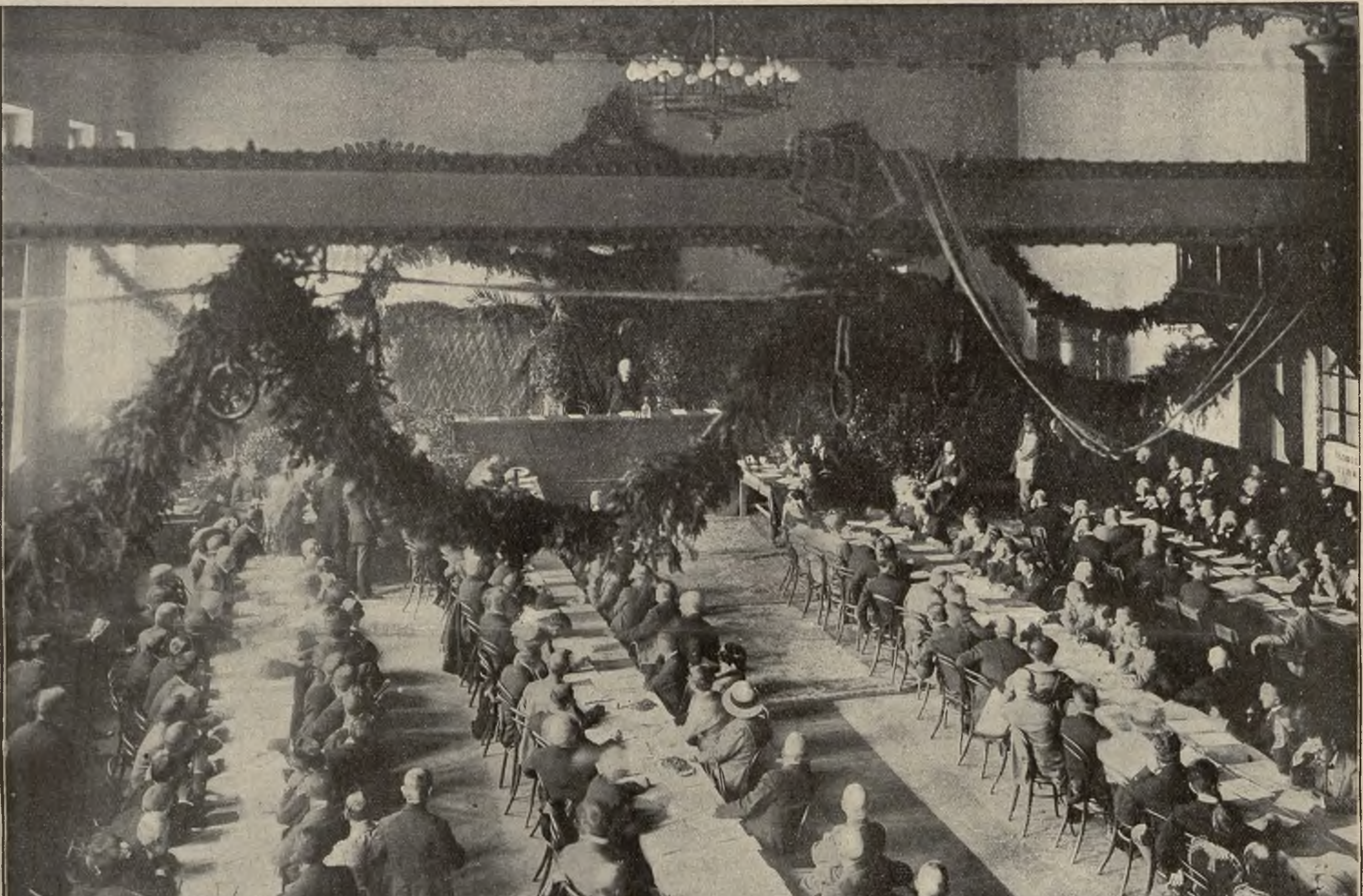
Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 26 czerwca 1915. Nr. 26.

Zjazd komitetów narodowych w Krakowie.



Otwarcie Zjazdu w sali „Sokoła" przez prezesa N. K. N. prof. dra Jaworskiego.

Zjazd komitetów narodowych w Krakowie.

W dniu 20 b. m. odbył się w mieście naszem zjazd delegatów Powiatowych Komitetów Narodowych. Zwołał ich do starego grodu Naczelny Komitet Narodowy, zwołał na doniosłe i ważne narady, jak czyn zaczęty poprowadzić dalej na ostateczne zwycięstwo. Inny to zjazd od dotychczasowych, w innych zwołany warunkach, z najistotniejszych potrzeb narodowych zrodzony. A i inne, niezwykłe były zaiste akcesorya tego zjazdu. Wtórzyły mu odgłosy nadludzkiego zmagania się z wrogiem i łuna wojennej pożogi dodawała mu majestatu bohaterskiego piękna. Bo był to zjazd tych, którzy, chociaż dach płonął nad głową, nie opuścili rąk, ale trwali w pracy i po szczęście dla ojczyzny sięgali, idąc mężnie w ordynku Naczelnego Komitetu Narodowego.

I jakby w nagrodę za to, wiecować wypadło niezłomnym żołnierzom w chwili radosnej, gdy wróg ostrzem oręża wojsk naszych i bladym strachem pędzony, opuszcza ziemię polską w pospiesznym odwrocie.



Z oswobodzonego kraju: Rosyjskie rowy strzeleckie we wsi Ciężkowicach, zburzone przez austryacką artyleryę.

Te wszystkie okoliczności, jak i cel zjazdu sprawiły, że z obrad biła gorąca wiara i otucha, a w sumie przemówień i w nastroju leżało wielkie dostojeństwo.

Na liczny niezwykle zjazd przybyło 523 delegatów z czterdziestu kilku powiatów, a 62 miejscowości Galicyi, prócz tego wiele wybitnych osobistości miasta naszego w charakterze gości.

Cisza niezwykła zapanowała na sali Sokoła odświętnie przystrojonej, gdy po godzinie dziesiątej pojawił się na estradzie prezes N. K. N. profesor Jaworski. Złożywszy podziękowanie prezydyum miasta, zarządowi Sokoła i Komendzie twierdzy, zdał w ogólnych rysach sprawozdanie z działalności N. K. N., który stworzył i sformował Legiony i skupia naród około wspólnej akcyi na rzecz tych Legionów. W zwycięstwo i powodzenie sprawy nigdy N. K. N. nie zwątpił. Wiara jego nie załamała się nigdy. „Trwaliśmy przy idei 16 sierpnia i bez wahań i wątpień przechowaliśmy ją dotąd i przechowamy nadal". Nawołując do jedności, zakończył prezes Jaworski podniosłe swe przemówienie w słowach następujących: „Program nasz jest Wam znany. Wsławił go głos, jaki na wojnie jedynie ma znaczenie: czyn wojenny. Legiony za ideę, którą wyznajemy, idą w bój i umierają. Za nami stoi przeto najwyższa powaga, najwyższe dostojeństwo, najwyższe piękno: powaga, dostojeństwo, piękno śmierci ofiarnej. Kto tej powadze, temu dostojeństwu, temu pięknu dorówna? Bohaterom cześć!"

Tą przemową otworzył prezes Jaworski zjazd, poczem wybrano prezydyum w składzie następującym: ekscell. dr. Leo, poseł dr. German. dr. Ernest Bandrowski, ks. dziekan Markiewicz, dr. F. Maiss, marszałek Włodzimierz Sroczyński, marszałek Zygmunt Mars, poseł Andrzej Sredniawski oraz włościanie Jan Kasprzak i Józef Bednarczyk, wreszcie robotnik R. Mędlarski. Sekretarzami wybrano ks. Mazura, pp. Smulikowskiego, Wasiewicza i Staszla.

Imieniem miasta powitał zjazd ekscell. dr. Leo, podnosząc, że wielką musi być idea 16 sierpnia, skoro mimo strasznych przejść wojennych apel Nacz. Kom. Narodowego sprowadził tak liczne zastępy uczestników. Imieniem Sokoła krakowskiego przemówił p. Turski, imieniem manifestacyi w Piotrkowie w dniu 3 czerwca i Departamentu wojskowego N. K. N. podpułkownik Sikorski. Poczem zjawił się na estradzie przedstawiciel I. brygady Legionów, por. Kaden, niosąc zebranym powitanie z rowów strzeleckich „od brygadyera, oficerów i żołnierzy".

Na wniosek radcy dworu dra Wicherkiewicza, uchwalił zjazd jednomyślnie wysłać telegram hołdowniczy do cesarza i do arcyksięcia Fryderyka z po-



Zjazd komitetów narodowych w Krakowie: Prezydyum zjazdu. Od strony lewej ku prawej stoją pp.: Włodzimierz Sroczyński, ks. Mazur, Smulikowski, dr. F. Maiss, burmistrz miasta Bochni, Zygmunt Mars, R. Mędlarski, prof. Jaworski, prezes N. K. N., Józef Bednarczyk, wójt gminy Ciche, poseł dr. German, dr. Sokolnicki, dr. Wasiewicz, dr. Marek.

dziękowaniem za opiekę, jaką otaczał dotychczas naszych Legionistów.

Dr. German odczytał wzniosły list z życzeniami dla zjazdu ks. biskupa Bandurskiego, poczem kierownik biura Departamentu organizacyjnego N. K. N., p. Smulikowski, złożył sprawozdanie z działalności Powiatowych Komitetów Narodowych. Powołał je do życia Departament organizacyjny N K. N. w tym celu, jako oddział przy Naczelnym Komitecie Narodowym, uchwałą z dnia 16 sierpnia stworzony. Komitety Powiatowe rozwinęły szeroką akcyę werbunkową i niektóre z nich dostarczyły znacznego kontyngentu ochotnika. I tak ze Zywca i okolicy wyszło 778 żołnierzy, z Oświęcimia 649, z Nowego Sącza 459, z Wadowic 426, z Zakopanego 354. Również i z innych powiatów płynęła ochoczo i gromadnie młodzież do Legionów.

Po sprawozdaniu p. Smulikowskiego nastąpiło sprawozdanie z działalności Komisaryatu wiedeńskiego, złożone przez dra Habichta. Imieniem Królestwa Polskiego przemówił inżynier p. Walicki, poczem obrady przerwano do godziny 4 po południu. W obradach popołudniowych zabrał pierwszy głos por. Bobrowski, witając zjazd wśród oklasków imieniem II. Brygady Legionów. Na wniosek dra Żychonia uchwalono wysłać depeszę do eksc. Durskiego.

Imieniem kobiet przemówiły panie Bilewska i Iza Moszczeńska. Pierwsza imieniem Związku Ligi kobiet N. K. N., druga Lig z Królestwa Polskiego.

W ważnej sprawie odbudowy wsi polskiej, zniszczonej wojną, przemawiali pp. inż. Czajkowski i poseł Witos, poczem zabrał głos podpułkownik Sikorski. Obszernie i rzeczowo skreślił mowca dotychczasowe dzieje I. i II. Brygady Legionów polskich, nadto złożył również obszerne sprawozdanie z działalności Dep. wojskowego N. K. N. w trzech fazach jego istnienia i rozwoju: w okresie krakowskim, śląskim i na ziemi Królestwa Polskiego.

Nastąpiły jeszcze sprawozdania sanitarne i skarbowe. Pierwsze złożył radca dworu dr. Wicherkiewicz, drugie szef Dep. skarbowego, dr. Starzewski.

Całodzienne obrady dobiegły kresu. Wówczas przewodniczący, poseł dr. German, powstał, by zjazd zamknąć. Serdeczne poświęcił wspomnienie tym Legionistom, co legli w boju o szczęście i chwałę Polski. Zebrani przy tym ustępie przemówienia powstali, salę zaległa cisza głęboka i z pewnością w niejednem oku zakręciła się łza...

Życzeniem, by drugi zjazd odbył się już w wolnej Warszawie przy współudziale delegatów wyzwolonego Lwowa — zakończył mowca swe przemówienie.

Na sali zabrzmiała nieśmiertelna pieśń: „Jeszcze nie zginęła“.

* * *

Jednocześnie ze zjazdem Komitetów narodowych odbył się zjazd Ligi kobiet N. K. N. Obrady odbywały się w sobotę w Domu lekarskim. Salę zapełniły delegatki z miast Galicyi, Śląska i Królestwa Polskiego. Zebranie zagaiła prof. Napoleonowa Cybulska, jako sekretarka zasiadła p. M. F. Błotnicka. Przewodniczącemi zjazdu wybrano panie: brygadyerową Piłsudzką, Satalecką (z Krakowa), Moraczewską (delegatkę ze Sląska), hr. Rusocką (Nowy Sącz), Annę Lewicką. Na sekretarki powołano panie: Zuławską, Weychert-Szymanowską, Zychoniową, a do weryfikacyi mandatów p. Zofię Witowską.

Po dokonaniu wyborów zabrał głos dr. L. German, który podniósł doniosłość pracy kobiet dla tych, którzy na polach bitew walczą o lepszą dolę ojczyzny. Następnie delegatki Ligi z poszczególnych miast składały sprawozdanie.

W dalszym ciągu obrad, na zebraniu popołudniowem, na którem obok delegatek i pań z Krakowa obecni byli posłowie dr. Wł. L. Jaworski, prezes N. K. N., German, Daszyński, Hupka, Marek i Srokowski, imieniem Ligi kobiet w Królestwie Polskiem przemawiała p. Weyhert-Szymanowska, następnie delegatki poszczególnych Lig i prof. Jaworski.

Wkońcu po szczegółowej kilkogodzinnej dyskusyi uchwalono prowizoryczny regulamin dla Związku Lig Kobiet, którego zarząd główny będzie miał siedzibę w Krakowie przy N. K. N. Związek Lig Kobiet, jako sekcya N. K. N. w stosunku współpracy z nim, będzie nosić oficyalny tytuł: Liga Kobiet N. K. N.





Z oswobodzonego kraju: Szczątki padłych koni na pobojowisku w Galicyi.



Zburzona część kościoła.



Z oswobodzonego kraju: Gorlice.
Jeńcy rosyjscy uprzątają gruz z ulic.



Ocalały łuk w kościele.



Zjazd komitetów narodowych w Krakowie: Grupa uczestników zjazdu na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej.



Zjazd komitetów narodowych w Krakowie: Uczestniczki zjazdu Ligi kobiet N. K. N. na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej. (X) Przewodnicząca brygadyerowa Piłsudzka.

MARYA SEGENY.

Fragmenty.

Doktór Andrzej.

Doktór Andrzej usiadł u wejścia namiotu. Kilkodniowa gorączkowa praca wyczerpała go zupełnie. Noc zapadała szybko, noc dobroczynna i kojąca, niosąc choć cokolwiek wytchnienia i ulgi. Zdala dochodził go głuchy, stłumiony odgłos walki, niby daleki pomruk nadciągającej burzy. Doktór Andrzej jednak nie zwracał na to uwagi. Na mózgu jego osiadła nieprzebrana, ciężka mgła, tłumiąc wszelki odruch samoistnej, rzeźwiejszej myśli.

On, który przed kilkoma godzinami jeszcze pomimo wyczerpującej pracy i całej energii skupionej tutaj, w tym bezmiarze bólów i cierpień — szedł całą duszą za tamtymi, zżywał się z ich młodym zapałem, pragnąc gorąco, gdyby to w mocy jego było, rozdmuchać, rozolbrzymić gorejące w nich zarzewie — teraz, obojętny, zimny, nagle zmalały, czuł, że się w nim kołacze tylko jedna, jedyna myśl. To myśl, którą potrafił przecież ujarzmić przez szereg tygodni, którą całą mocą odrodzonej duszy odrzucił precz od siebie, jak coś nieswojego, coś, co pomimo woli i wiedzy wypełzło jak gad żrący i toczyło powoli jego młode życie. Myśl — pragnienie zemsty.

Objęła go ona potężnym, żywiołowym płomieniem w ten dzień, w którym runęły, jak dąb zmurszały, wszystkie jego najserdeczniejsze nadzieje i marzenia.. I od tej chwili doktór Andrzej przestał być sobą. Porwały się, jak nikłe włókna pajęcze, te wszystkie nici, łączące go z jego światem zewnętrznym — był sam ze swoim bólem, zasklepiony w rozpaczliwej chęci zemsty, jątrząc krwawiącą ciągle ranę rozpamiętywaniem, rozdrabnianiem doznananej, palącej krzywdy.

A przyszła ona tak nagle, tak niespodziewanie. Człowiek, który od lat tylu był jego przyjacielem, prawie współtowarzyszem dotychczasowego życia, zdradził go podstępnie, kradnąc to, co miał najdroższego, ukochaną kobietę. On to zabił jego pędy, zniszczył w niej wszystkie piękne i szlachetne pędy życia, przysypując je garścią popiołu, z pod którego wybuchła jadowita, żrąca iskra nienawiści.

Stan ten trwał dość długo. Doktór Andrzej żył już tylko potężniejącem z każdą chwilą pragnieniem odwetu. Godzina ta przecież nadejść musiała, a gotował się do niej zimno, z całą samowiedzą maniaka, zapatrzonego w jedną utopijną ideę, którą zrozumieć i podsycać potrafił.

Aż nagle nadciągająca ze wszech stron fala radosnych, nadziejnych wieści dotarła do niego. Ocknął się doktór Andrzej.

Jak drzewo pogrążone w śnie zimnym za pierwszym wiosennym podmuchem wyrzuca z siebie w żywiołowej sile rozrodczej młode, silne pędy, rwące się ku słońcu — tak dusza Andrzeja, zbudzona nagle tym słonecznym, promiennym prądem, rozwarła się szeroko, chłonąc chciwie drgnienia nowego życia, nadciągające zdala.

Ożyły dawne marzenia o jasnej, wolnej przyszłości, o wspólnej, płonnej pracy na ojczystej ziemi, o bliskim dniu wyzwolenia. Dźwięk trąbki bojowej serdecznem echem rozbrzmiał w jego duszy, wypłaszając z niej to wszystko złe, co samolubnie rozpleniając się, groziło już ostateczną zatratą. Porwany wielką pieśnią wolności, dolatującej ze wszech stron, dobrowolnie zaciągnął się w bratnie szeregi. Znikła paląca udręka przeszłości, ból własny zdał mu się teraz śmieszną karykaturą cierpienia, nikłym atomem, skazanym przemocną siłą wypadków na zaginięcie. Opuściły go dawne, mściwe pragnienia. Z zapomnieniem o sobie, całą swą wiedzę i siły, jako lekarz, oddał na usługi rannych towarzyszów.

I oto teraz znowu nagły, nieprzewidziany powrót do przeszłości.

Wzdrygnął się ze wstrętem doktór Andrzej i nieprzytomnie spojrzał wokoło. W ciemnej i nieprzeniknionej nocy błyszczały gdzieniegdzie drobne, błyszczące światełka, a nieprzerwany pomruk morderczej walki, niesiony silnym podmuchem wiatru, monotonnem echem rozchodził się po pustych polach, zlewając się z echem rannych, spoczywających pod namiotem. Jeden silniejszy jęk wyrwał Andrzeja z odrętwienia. Oczy jego rozbłysły nienawiścią.

Dlaczego ten człowiek stanął znowu na jego drodze? Teraz, kiedy dawny, niepokojący ból i poczucie piekącej krzywdy dogorywało powoli na dnie jego duszy pod nawałem nowych, przemożnych wrażeń i uczuć, kiedy zdało mu się, że zdeptał już w sobie na zawsze to przeklęte wspomnienie i nie było w nim nic ponad to gorące pragnienie, którem dyszały zgodnie tysiączne legiony współbraci.

I oto znowu powracał tamten!

Jak widmo pogardzonej przeszłości, stawał przed nim tak potężny w swej niemocy, tak bezbronny, jak dziecię porzucone po drodze, a przecież rozgrzeszony prawie w jego oczach tym świętym chrztem krwi, wylanej we wspólnej, serdecznej sprawie.

Wszak teraz był w jego mocy!

Sam los przysłużył mu się znakomicie, budząc uśpioną nienawiść, podsuwając sposobność dawno oczekiwanej chwili odwetu.

Bo teraz cóż?

Jedna chwila, jeden ruch, szarpnięcie bandaża, a porachunek z tamtym załatwionym zostanie. Pamięta, jak kilka godzin temu wniosła go tutaj na noszach służba sanitarna. Z rozdartej odłamkiem pocisku piersi krew purpurowym strumieniem buchała, ciemnemi plamami znacząc poszarpany mundur, przeciekając grubemi kroplami po przez nosze na ziemię.

Nie poznał go w pierwszej chwili. Rzucił się ratować.

Starannie opatrzył ranę, wyczyścił, zatamował krew, a gdy pochylił się nad rannym, aby mu do ust wlać kilka kropel wody, oczy jego spotkały się z jego spojrzeniem.

Poznał go!

Przez chwilę dusza w Andrzeju zamarła. I tamten go poznał. Widział to w jego uporczywem spojrzeniu, w którem, oprócz wielkiego bólu, wyczytał dziwny jakiś spokój i powagę.

Nie mógł znieść tego wzroku. Zerwał się i jak szalony wybiegł z namiotu. Długo błąkał się po poblizkich polach, szarpiąc duszę na strzępy nawałem rozszalałych myśli, które, jak druzgocący huragan, uderzyły w niego całą rozkiełzaną siłą. Gdy powrócił i zmęczony, bezwładny usiadł u wejścia namiotu, taki bezład chaotyczny objął jego umysł, iż sam już nie wiedział, co czynić ma, za czem iść, czego pożądać.

Błędnemi, rozgorączkowanemi oczyma zapatrzył się bezmyślnie w noc ciemną, skąpo oświeconą nikłemi światłami, zapominając, gdzie jest i poco tu przybył, nie zdając już sobie sprawy z tego, co się wokoło niego działo. Z nużącej ciszy, która opadła na jego zmysły, wyrwał go stłumiony szept:

— Andrzeju!

Jednym skokiem znalazł się przy rannym. I znowu zmierzyli się wzrokiem, tylko z oczu tamtego wybiegła teraz gorąca, serdeczna prośba.

— Andrzeju! Pozwól mi mówić. Przeżyłem razem z tobą tych kilka godzin strasznej udręki, poznałem twoje myśli, zamiary. Przebacz, zawiniłem. Zachowaj mi jeszcze życie... ono tak potrzebne tam... Potem, kiedy dzień lepszy dla nas zaświta, zrobisz ze mną, co zechcesz.

Płomienna łuna wstydu oblała twarz Andrzeja. Jak mógł choć na chwilę jedną zatruć duszę tą straszną, ohydną myślą, kiedy tam w dali brzmiała zgodnym, wielkim akordem cudna pieśń bojowa, kiedy przejęci wspólną, czystą ideą szły tysiączne zastępy z wiarą, z uśmiechem na ustach na krwawy porachunek wiekowy, niosąc bujne, młode życie w ofierze, kiedy tam może w tej chwili padały ich tysiące w potężnej, wielkiej pogardzie śmierci, on tu...

Nie, nie!

Nagłym, nieobliczalnym ruchem pochylił się nad rannym i gorączką spieczone usta przycisnął do jego czoła.

Na warcie.

Po szerokiem, pustem błoniu przeleciał pierwszy wiosenny wiew. Przypadł do rdzawych, zmurszałych traw, popieścił tchnieniem radosnem, poderwał się zuchwały, pewny siebie i uderzył na nagie, wpółsenne szkielety drzew, na ciemne, szczytne mury uśpionego zamczyska, szepcąc jakieś słowa nadziei i wyzwolenia.

I oto stało się, że drzemiące, przywalone długim ciężarem życie budzi się powoli, szeroko rozwiera ramiona, chłonąc w siebie te świeże, nadpływające prądy.

Załomotały silniej konary drzew nagie, wdzięcznej plusnęła fala, odbijająca się o żelazne podwaliny mostu, zjaśniał błękit nieba ciemnego, a z głębin błonia popłynęły szepty, szmery jakieś, niby leniwe westchnienia człowieka nagle ze snu zbudzonego, i pobiegły gwarząc ku miastu.

Zasłuchał się w ten szmer tajemny młody żołnierz, stojący na warcie koło mostu. Rozszerzonemi oczyma wpatrzył się wyczekująco w czarną, olbrzymią plamę zamku, rysującą się ciężko i wyraźnie na jaśniejszem tle nieba. Cicha, przedwiosenna noc, pełna obietnic dziwnych i radosnych, objęła go w moc swoją władczą. Jakieś mętne rojenia, jakieś zmalowane odbicia obrazów, gdzieś już i kiedyś silniej w mózgu przeżytych, oderwane błyski wrażeń i myśli, poczętych w godzinie wielkiego natężenia i pragnień gorących, teraz zamglonym oparem spadły na jego duszę. I pamięć, leniwie łowiąca jakieś błyski świadomości żywszej, rozgorzała namiętnem marzeniem, biegnąc tą drogą wiary, na którą zawsze pierwsze wiosenne powiewy rzucają życia młode.

I zdało mu się, ze zadrgało coś w tem powietrzu sennem, w tej ciszy niepokojącej, nabrzmiałej głuchem oczekiwaniem. Budziła się wiosna, budziło się nowe, odrodzone życie.

Bo oto pewnym był, że już tu kiedyś był przed latami i zastygł tak powoli nad tą wielką mogiłą niezapomnianych wydarzeń, wsłuchany w jej niemą, cichą skargę... a oto teraz wkoło niego przepływają żywe, radosne fale życia nowego, biją zwycięsko w mchem już zarastającą mogiłę, budząc, wskrzeszając z martwych duchy w niej drzemiące, wołając na czyny wielkie i nowe!

I budzi się z letargu wielka dusza starego grodu, czuwająca od wieków przecie z wyniosłości swojej nad skarbem jej pieczy powierzonym.

Zbudził się zamek stary...

Rozgorzał tysiącami łun jasnych, zawrzał potężnem tętnem życia, kipi w nim gorąca fala, purpura krwi, wołające o czyn i zemstę. Rozbrzmiewają hasła, chrzęszczą głucho zardzewiałe zbroje, raźno parskają konie do lotu gotowe. Z głośnym łomotem żelaziw rozwiera się nagle wielka, ciężka brama i jak rozszalały huragan stepowy wypada z szumem zwarty legion w stal okutych rycerzy. Przoduje im koń biały o mlecznej, rozwianej grzywie, lekko niesie jeźdźca wyniosłej postawy, twardemi jak krzemień kopytami rwie ziemię, niecierpliwie gryzie wędzidło, białe szmaty piany z rozwartego pyska toczy.

Zadudniał głucho most pod naporem i aż ugiął się z ciężkiem stęknięciem.

Już są na błoniu. Błysnęła szabla srebrną błyskawicą na przodzie, stanęły szeregi jak w ziemię wryte, a wokół cisza, oczekiwaniem nabrzmiała, wchłaniała w siebie koni niecierpliwe chrapanie i radością rozparte piersi silnych oddechy.

Rozbłysły wielkie źrenice gwiazd ku ziemi, zdziwione i rade.

Rozśpiewał się dźwięcznym akordem ciepły, wiosenny wiew, trąca radośnie o stalowe, błyszczące pancerze, potrząsa grzywami koni, blade, spiżowe twarze pieści żywicznym oddechem.

Powtórną błyskawicą srebrną błysnęła szabla na przodzie. I zagrzmiał śpiew równy, zwarty, jakby głos jednej, przepotężnej piersi. Pobiegł przez błonia szerokie i puste, rozełkał się szerokiem westchnieniem w dali mrocznej.

I znowu zadudniała radośnie ziemia, rwana twardemi kopytami, rozsrebrzyły się w biegu pancerze stalowe, pochyliły jak kłosy nabrzmiałe — blade, spiżowe twarze.

Pędzą!

Wokoło echo gra potężnym głosem. Ciemność zazdrośnie chłonie ich w siebie, już szarem widmem zwija się korowód pancerny... już giną...

Tylko mleczna grzywa przodującego rumaka, jak drobna, biała chorągiew, błyska od czasu do czasu, przecina jasnym zygzakiem nieprzebraną ciemność nocy.

I cisza ciężka zawisła nad błoniem, wielka, radosna, przejęta cudem wiosennym.

Zbudziła się wiosna... zbudziło się życie... zbudził się wielki duch uśpionych rycerzy. Ocknął się z trudem młody żołnierz, stojący na warcie u stóp starego zamczyska. Drżącą dłonią czoło przeciera blade. Cud, czy sen?

Przypadł do ziemi wilgotnej, rozpostartemi ramionami objął gorąco i płacze... A nie są to łzy, co krwawemi kroplami na dno duszy spadają, to wielkie, jasne, szczęścia łzy.

Roszą one tę ziemię, ciepłem, wiosennem tchnieniem objętą, wsiąkają w nią chciwie, by wystrzelić kwiatem w purpurę zdobnym, kwiatem wolności i chwały!...

Przez obszerne, puste pola przeleciał gorący, wiosenny wiew.

Zbudziła się wiosna! Zbudziło się nowe życie!

Zakopane 6 maja 1915.



Odwiedziny w szkole inwalidów: Arcyksiężna Zyta, małżonka następcy tronu, oraz arcyksiążę Karol Stefan ze Żywca w rozmowie z rekonwalescentami.

Odwiedziny w szkole inwalidów.

Tegoczesna technika wojenna pociąga za sobą bardzo wiele ofiar. Smiertelność skutkiem ran postrzałowych jest stosunkowo niewielką, wielu natomiast chorych postradało swe kończyny dolne lub górne, a te, dzięki najnowszym zdobyczom na polu chirurgii, zastępuje się w sposób sztuczny, tak zwanemi protezami, to jest sztucznemi kończynami.

Ofiarność publiczna w tym kierunku okazała się bardzo wydatną, z całej monarchii popłynęły bardzo obfite składki na ten cel, wielu też rannych opuściło już szpitale i, aczkolwiek okaleczeli, nie będą ciężarem dla społeczeństwa, ale potrafią się jąć pracy zawodowej, właśnie dzięki tej okoliczności, że utraconą kończynę zastąpiono w sposób sztuczny i nauczono pacyenta, jak się ma z nią obchodzić.

Zwłaszcza we Wiedniu, w szpitalu rezerwowym nr. 1., zostającym pod kierownictwem starszego lekarza sztabowego, dra Spitzy'ego, znajduje się wielu takich chorych, tutaj też założono szkołę dla inwalidów, w której, po wyleczeniu, uczą się, jak postępować, by sztuczna kończyna zastąpić mogła w zupełności utraconą.

Zakładem tym interesują się bardzo najszersze koła społeczeństwa, dowód współczucia dla nieszczęśliwych dają też osoby, należące do najwyższych sfer towarzyskich, odwiedzając rannych, o ile tylko okoliczności na to pozwolą.

Illustracya, którą zamieszczamy w niniejszym numerze, przedstawia małżonkę następcy tronu, arcyksiężnę Zytę, w towarzystwie arcyksięcia Karola Stefana ze Zywca podczas odwiedzin w szpitalu. Dostojni goście zabawili tutaj przeszło trzy godziny, zwiedzając pod przewodnictwem komendanta szpitala sale chorych i wszelkie urządzenia, rozmawiali z rannymi, wypytując się ich o szczegóły i pocieszając w serdecznych słowach, na odjezdnem wyrazili też swoje najpełniejsze uznanie personalowi szpitalnemu.

Scena, przedstawiona na illustracyi, rozgrywa się na dachu budynku szpitalnego, zamienionym na ogród dla chorych, gdzie rekonwalescenci skracają sobie czas grą w karty.

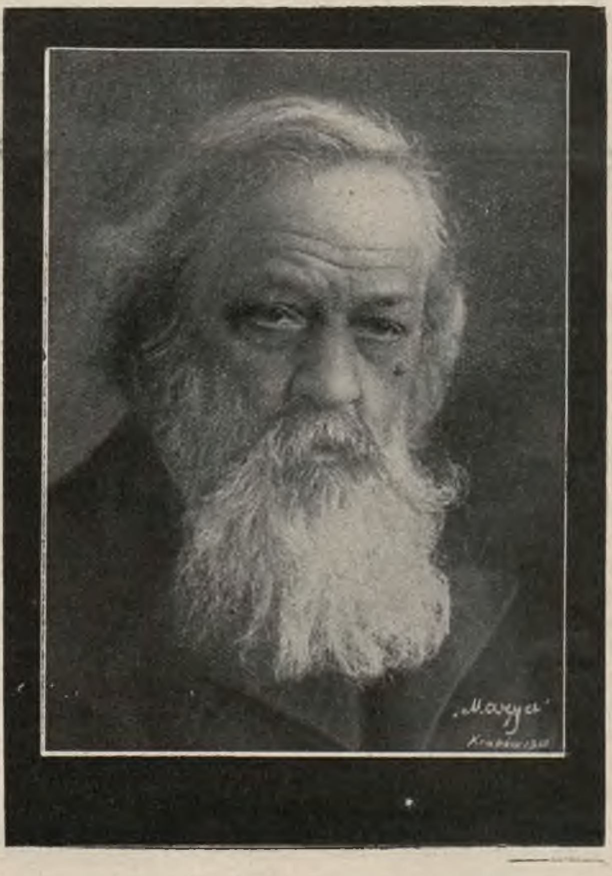
Zgon zasłużonego artysty.

Stary Kraków, ze swemi typowemi postaciami ustępuje zwolna miejsca nowemu. Schodzą ze świata osobistości, które z miastem się zżyły i cieszyły ogólną sympatyą, pozostaje po nich jedynie wspomnienie i dla potomnych wzór, godny naśladowania.

Jedną z nich był ś. p. Józef Siedlecki, artysta malarz, profesor kursów im. Baranieckiego, który w ubiegłym tygodniu zmarł w naszem mieście, przeżywszy 74 lat.

S. p. Siedlecki, którego znakomity nasz krytyk i publicysta, St. Witkiewicz, w książce jego zasługom poświęconej nazwał „dziwnym człowiekiem“, przyjaciel ś. p. Matejki, Jabłońskiego i wielu innych znanych malarzy, mimo wielkiego talentu w latach dawniejszych oddał się zawodowi pedagogicznemu, jako profesor rysunków, pracując nad młodzieżą i budząc w niej zapał do sztuki.

Na tem polu położył też niespożyte zasługi



Zgon zasłużonego artysty: S. p. Józef Siedlecki, artysta-malarz i profesor rysunków na kursach im. Baranieckiego. (Fot. „Marya“, Kraków.)

i, gdy przed dwoma laty, zmożony wiekiem i wyczerpaniem ustępował ze swego stanowiska, żegnano go z prawdziwym żalem i wdzięcznością.

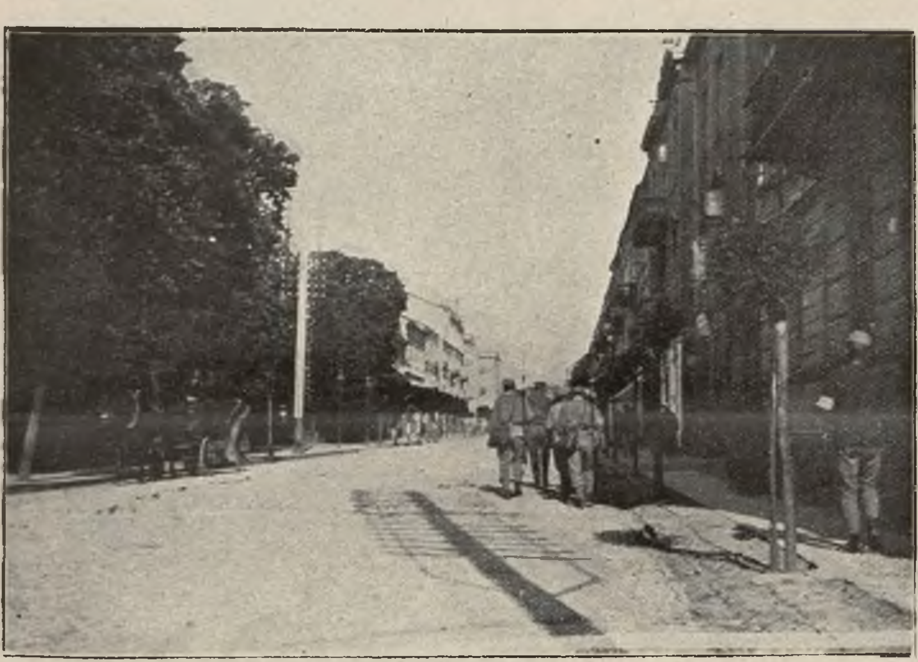
Sztuce poświęcił on się całkowicie i nią tylko żył i dla niej. Skomponowawszy w swej młodości wielki obraz, przedstawiający ideę Boga, przenikającego wszechświat, tak się przejął tą ideą, która wydawała mu się wyższą ponad jego siły, że zrobiwszy szkic, nigdy nie ośmielił się porwać na wykończenie, czekając, aż osiągnie ten stopień dosko-

nałości, który mu się wydawał koniecznym wobec ogromu zamierzonego dzieła.

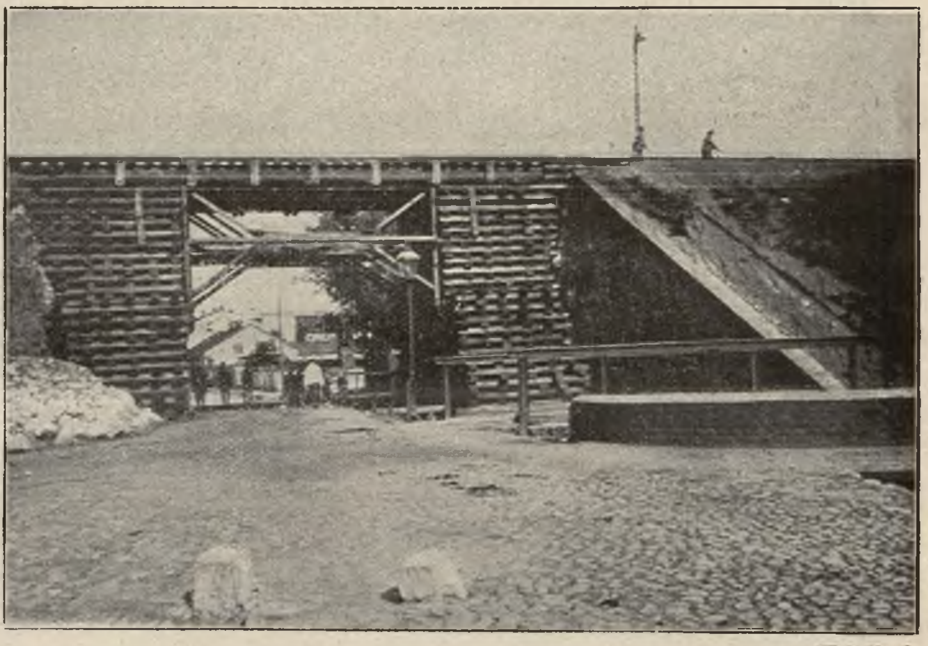
Pracował sumiennie i gorliwie, w skromności swej przecież sądził, że nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila, by plan w czyn wprowadzić.

po wypędzeniu wroga. Jakkolwiek wszędzie znać tam ślady ostatnich walk, ludność, jak donoszą zgodnie korespondenci, z otuchą i wiarą wraca do swych siedzib, by znów stanąć na posterunku.

Trzeba tu podnieść wytrzymałość i energię natylko — jako niemi świadkowie — wspólne groby żołnierskie, jął się od razu pracy, aby ratować to, co jeszcze uratować można na oswobodzonej od najazdu ziemi polskiej.



W zmienionej roli: Jeńcy rosyjscy na ulicach Piotrkowa.



Z oswobodzonego kraju: Most w Piotrkowie, odbudowany przez austro-węgierskich pionierów.

Ciężkie warunki życiowe zmusiły go do szukania możności służenia sztuce na innej drodze. Zaczął się uczyć sztycharstwa, ale, zagrożony utratą wzroku, musiał i to porzucić i wówczas to, za poparciem Matejki, został nauczycielem rysunków w krakowskich szkołach.

Nie mogąc tworzyć, szukał w sztuce wrażeń i rozpoczął gromadzić reprodukcye arcydzieł sztuki swojskiej i zagranicznej. Idea ta opanowała go niepodzielnie, jako jedyny cel życia, na zakupno wszelkich tego rodzaju publikacyi obracał niemal całą swą pensyę, potrzeby swe życiowe redukując do minimum, a każdy, ciężko zdobyty grosz poświęcając na pomnożenie swych zbiorów, które, można śmiało powiedzieć, nie mają równych sobie w Europie.

Przed śmiercią rozporządził też zbiorami, jak mógł najlepiej, ofiarując je Muzeum Narodowemu, gdzie będą wystawione w osobnych salach, przeznaczonych na pomieszczenie arcydzieł sztuki obcej.

Jak żył cicho, tak też cicho i zgasł, pozostawiając po sobie pamięć człowieka o charakterze czystym, jak łza, entuzyasty dla wszystkiego, co piękne w najszlachetniejszym stylu i znakomitego pedagoga.

Cześć Jego pamięci!

W zmienionej roli.

Gdy Rosyan wyrzucono z Galicyi, gdzie uważali się za gospodarzy, zmieniła się również ich rola w znacznej części Królestwa Polskiego. Bo i tam, skąd ich wyparto, nie brak bynajmniej Moskali. Nie rządzą oni już tam buńczucznie, ale przybywają w wielkich masach — w charakterze jeńców.

Illustracya nasza przedstawia właśnie niedawnych gospodarzy na ulicach Piotrkowa, prowadzonych pod eskortą żołnierzy austryackich.

Z oswobodzonego kraju.

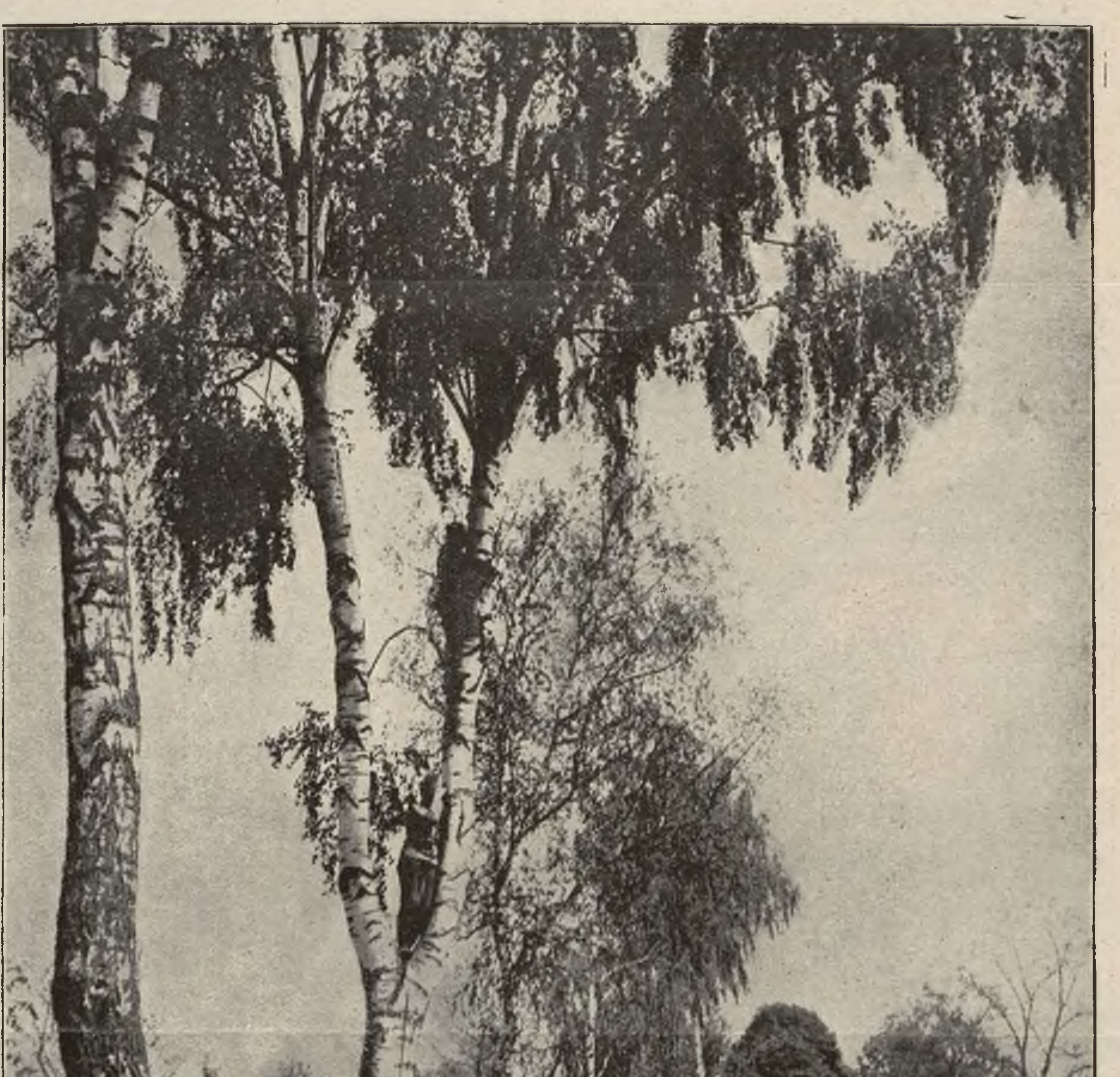
Po kilkomiesięcznej inwazyi nieprzyjaciela znaczna część Galicyi została już wyswobodzoną i zaczyna powoli wracać do normalnego życia. Naturalnie, jest to tylko pierwsze zaczerpnięcie oddechu po ciężkich przejściach, o jakich ci, co nie byli w samem piekle walki, nie mają i nie mogą mieć pojęcia. Potrzeba olbrzymich sum, wydatnej pomocy i długiej pracy, aby zabliźnić te rany, jakie pozostawił huragan wojenny, co przeszedł przez Galicyę.

Pomijając straty materyalne, najbardziej ucierpiała ludność tych miejscowości, w których Rosyanie usiłowali stawić opór, bo ani wsi, ani miast, które znalazły się w środku ich pozycyi, a więc i w ogniu walki, nie ewakuowali, narażając przez to mieszkańców na śmierć i rany.

Z miast, jak to zaznaczyliśmy już poprzednio, najbardziej ucierpiały Gorlice, z których też dajemy w dzisiejszym numerze kilka dalszych zdjęć. Zamieszczamy również zdjęcia z innych miejscowości Galicyi, dokonane przez naszych korespondentów już szego ludu, który z rezygnacyą znosił najcięższe chwile i nigdy bezradnie nie opuszczał rąk. Przepędzał dnie i tygodnie, gdy tego było potrzeba, w wykopanych jamach lub na tułaczce, a teraz, gdy ucichły odgłosy walki, po których pozostały

Wojna z Włochami.

Wojna z Włochami, choć trwa już przeszło miesiąc, znajduje się w tem samem stadyum i rozwija się na tej samej linii granicznej, jak w pierwszych



Wojna z Włochami: Austro-węgierski posterunek obserwacyjny na granicy włoskiej.



Szpital forteczny nr. 6 w Krakowie: Sala chorych w budynku Seminaryum duchownego. 1) Dr. Kwiatkowski, lekarz naczelny, 2) dr. Ameisen, znany internista z Nowego Sącza, 3) dr. Aleksander.



Szpital forteczny nr. 6. w Krakowie: Sala operacyjna — amputacya nogi. 1) Komendant szpitala, lekarz sztabowy dr. Baxa, 2) operator i lekarz naczelny dr. Kwiatkowski, 3) dr. Ameisen, 4) dr. Aleksander.



Wojna z Włochami: Austro-węgierska patrol w lesie na granicy włoskiej.





Z oswobodzonego kraju:

Dowódca armii sprzymierzonych w Galicyi, jen. Mackensen, wydaje rozkazy.

Kościół w Zarszynie.

dniach po wybuchu. Włosi wprawdzie rozpoczęli ofenzywę na całej linii, ale jak dotychczas bez skutku. Stanąwszy przed wałem naturalnych zapór, wzmocnionych fortyfikacyami, nie posuwają się naprzód, nie zyskują na terenie. Zyskiem całym jest zajęcie wązkiego pasa nadgranicznego, ciągnącego się przed fortyfikacyami austro-węgierskiemi, oddalonemi o kilka lub nawet kilkanaście kilometrów od granicy.

Na tych nieudałych próbach wtargnięcia w granice monarchii austro-węgierskiej przeszły pierwsze dni ofenzywy włoskiej. Dopiero pod koniec maja rozpoczęli Włosi ostrzeliwać fortyfikacye austryackie z dział ciężkiego kalibru, ale i ten ogień był najzupełniej bezskuteczny.

Ostatnie dni przyniosły nowe ataki wojsk włoskich na pozycye austryackie, miały jednak ten sam



Z życia naszych uchodźców: Dyrektor szpitala barakowego w Choceniu, dr Ustrzycki, w otoczeniu delegatów baraków pp R. Krókowskiego i W. Musaka oraz gratulantów.

Dotychczasowy przebieg ofenzywy włoskiej przedstawia się, jak następuje: Zaraz po wybuchu wojny naczelna komenda włoska wysłała oddziały wywiadowcze, złożone przeważnie ze strzelców alpejskich. Oddziały te jednak cofnęły się natychmiast, gdy dostały się w obręb ognia wojsk austro-węgierskich.

Równocześnie na granicy Pobrzeża, między twierdzą włoską Palmenową a miastem Aquileją, gdzie pas graniczny jest płaski, wkroczyła do okręgu Gradyski włoska kawalerya, ale znalazłszy się na linii ognia, cofnęła się za granicę, poniósłszy znaczne straty.

rezultat — odwrót Włochów ze znacznemi stratami.

Jakkolwiek obecnie w ofenzywie włoskiej biorą już udział znaczniejsze siły, Włosi nie mogą dotychczas poszczycić się żadnym sukcesem. To też pierwszy miesiąc wojny z Włochami sprawił pewne rozczarowanie wśród ich sprzymierzeńców. Okazało się, że wojna z nowym przeciwnikiem nie wywarła żadnego wpływu na przebieg wojennych operacyi państw sprzymierzonych i nie osłabiła ich naporu zarówno na terenie wschodnim, jak i zachodnim. Na początek tej nowej wojny przypadły właśnie najświetniejsze zwycięstwa armii sprzymierzonych w Galicyi.

Z życia naszych uchodźców.

Wśród zawieruchy dziejowej, która tysiące rodaków wygnała z pieleszy rodzinnych i żałobą okryła, zdarzają się przecież chwile jasne, wzbudzające pośród nas nadzieję lepszej przyszłości.

Jedną z takich chwil, które na zawsze pozostaną w pamięci, było uczczenie dnia imienin dyrektora szpitala barakowego w Choceniu, dra Juliana Ustrzyckiego, lekarza okręgowego z Podkamienia, który podjął się ciężkiego obowiązku dbania o zdrowie swych rodaków, z początku sam jeden, bez jakiejkolwiek pomocy, wśród niewdzięcznych warunków pracy. Dość nadmienić, że w słotnej porze jesiennej trzeba było pracować w budynku, dachem niepokrytym i wśród ciągłego huku i stuku.

Ludność pojęła i zrozumiała sumienne wypełnienie tego szczytnego, lecz ciężkiego zadania i z upragnieniem czekała chwili, w którejby mogła choć w części dać wyraz swej wdzięczności za jego niestrudzoną, a pełną obfitych plonów pracę.

W dniu 22 maja b. r., jako w dzień patrona ukochanego lekarza, z inicyatywy całego personalu szpitalnego, pań Wł. Miarczyńskiej, Ancutowej, Thorówny, jakoteż p. Franciszka Malika, urzędnika z Krakowa i Wojciecha Musaka, wójta z Wyszatyc pod Przemyślem, jako delegatów ludności barakowej, odbyła się w budynku szpitalnym podniosła, a rzewna uroczystość.

W prześlicznie udekorowanych salach szpitalnych oddziału dziecinnego zebrał się personal szpitalny in gremio, delegaci baraków, oraz dzieci świątecznie przystrojone.

Pierwszy złożył życzenia czcigodnemu solenizantowi imieniem personalu lekarskiego dr. Wł. Mydlarski, podnosząc jego zasługi, w imieniu personalu administracyjnego szpitala przemówił pan Hieronim Parda, dziękując za serdeczne traktowanie i życzliwość, z jakiemi odnosił się do swych podwładnych.

Następnie złożyli mu życzenia delegaci baraków, p. Roman Krókowski, prawnik z Krakowa, wyręczając chwilowo chorego p. Malika, i p. Wojciech Musak, wójt gminy Wyszatyce pod Przemyślem, podnosząc prawdziwie ojcowską opiekę, jaką otaczał oddaną swej pieczy ludność.

Po tych przemówieniach dziewczynki wręczyły solenizantowi pięknie wykonaną srebrną papierośnicę, z wyrytą dedykacyą i datą uroczystej chwili oraz złoty zegarek — dary, powstałe ze składek wdzięcznych rodaków i ich rodzin.

Następnie składały życzenia dzieci, wręczając wraz z życzeniami kwiaty.

Widząc to ogólne uznanie, nie mógł się czcigodny solenizant oprzeć rzewnemu wzruszeniu, dziękował też ze łzami w oczach zebranym za tych kilka pięknych, a serdecznych chwil.



Z życia naszych uchodźców: Dyrektor szpitala barakowego w Choceniu, dr. Julian Ustrzycki, w otoczeniu lekarzy i personalu szpitalnego.

Poeta Rizal

Opowieść

na tle prawdziwego zdarzenia

Niezwykle smutny przybył don Joze Rizal do swych posiadłości pod Manillą na Filipinach. — Wszystko, co się tam działo dokoła: ta krew lejąca się strumieniami, te odgłosy nierównej a morderczej walki, te jęki nieszczęsnych powstańców — wszystko to jakimś niezmiernym żalem napełniało jego serce. Był on patryotą, kochał swą Hiszpanię, ale dlatego właśnie wzdrygał się na myśl, że ojczyzna jego tylko przez gwałt, mordy i strumienie krwi ma zdobywać dla siebie dobrobyt i sławę. Jakimś dreszczem przejmowały go salwy, rozlegające się ponuro i widział jasno swą wyobraźnią tych nieszczęśliwych, co porwali się na nierówną walkę, co szli prawie na niechybną śmierć w obronie praw ludzkich, zgwałconych przez jego współziomków...

Rizal był poetą — więc obrazy te, zrazu tak nieokreślone, tak niejasne, że w duszy jego ozwały się tylko jakiemś niewypowiedzianem uczuciem cierpienia, zaczęły przybierać oznaczoną formę, wcielać się w dźwięczne, melodyjne wyrazy — i popłynęła pieśń, smutna, wstrząsająca — pieśń, co wyśpiewała wszystkie marzenia, wszystkie bóle i płacze ofiar brutalnej przemocy, których całą zbrodnią było to, że tak samo, jak Hiszpanie, kochali swą ojczyznę.

Już świtało, gdy Rizal przestał pisać; wstał, przeszedł się po ogrodzie... Zdala widniały mury Manilli. Uśmiech szczęścia wystąpił na twarz jego bladą i zmęczoną... Tam, gdzie dla oka były tylko niewyraźne kontury, myśl jego odgadywała znane mu dobrze ulice, dom, w którego progi tak często wstępował — a w nim urocze zjawisko, przedmiot jego marzeń, cudną Luizę, z którą wkrótce miał stanąć na ślubnym kobiercu. Pieścił myślą jej postać tak mu drogą, w szmerze liści dosłuchiwał się jej głosu i utonął cały w tem złudnem marzeniu, rojąc, że za chwilę ujrzy swą Luizę w rzeczywistości i rzuci jej pod nogi snop pieśni nowych — lecz czemuż tym razem tak smutnych, czemuż krwią i łzami zaprawnych?...

Wtem rozległ się łoskot karabinowych wystrzałów. Rizal drgnął, ocknął się z rozkosznych marzeń, a przed oczyma jego stanął znowu, jak straszne jakieś widmo, obraz krwi, mordów i pożogi.

* * *

Wązką wiejską ścieżyną, zwolna, ociężale, posuwał się oddział ludzi licho uzbrojonych. Na twarzach ich malowało się zniechęcenie i niepokój.

— Do czego to doprowadzi? — mówił jeden z nich. — Hiszpanie wystrzelają nas, jak zwierzynę, a my nawet jęku wydać nie zdołamy i tylko żony nasze i dzieci zostawimy na pastwę wrogom.

Głuche milczenie było odpowiedzią na te słowa zwątpienia. Wszyscy posuwali się smutni, zrozpaczeni. Doszli nareszcie do wsi, gdzie zastali kilka takich samych partyi, lecz rozlegał się tam gwar i okrzyki. Jedni wołali: „Niech żyje Rizal!“, drudzy: „Precz z Hiszpanami!“ — a wszyscy wydzierali sobie z rąk papier, co był tym talizmanem, udzielającym życia i odwagi. Przybysze z ciekawością słuchali, gdy jeden z obecnych czytał czarodziejskie słowa z owej kartki. Była to pieśń Rizala, pieśń, co ozwała się drgnieniem ich serca, krwią nasiąkła i łzami, silna boleścią, porywająca mocą oburzenia...

I słuchali wszyscy zdumieni, a z piersi wyrwał się jeden okrzyk: „Niech żyje Rizal — precz z Hiszpanami!“

* * *

Był to przecudny dzień podzwrotnikowy. Naokół wszystko jaśniało takiem weselem, taką radością, iż zdawało się, że natura sprawiała jakieś gody niezwykłe, że starała się olśnić, oczarować człowieka swym wdziękiem i krasą...

Drogą do portu w Manilli dążyło dwoje młodych ludzi, a rozpromienione ich twarze, źrenice pałające pogodnem szczęściem świadczyły, że dusze ich harmonizowały z tym uroczym wdziękiem natury, że szli szczęśliwi, że dobrze im było we dwoje...

— Nie wiesz, Luizo — szeptał mężczyzna — jak jestem szczęśliwy w tej chwili! Za kilka minut popłyniemy przez morze do Hoilo; na parę godzin zniknie nam z oczu ta ziemia, parę godzin nic nie będę widział, oprócz tej bezbrzeżnej otchłani — i ciebie... O! kiedyż tak popłyniemy na zawsze przez fale życia... spokojni, szczęśliwi.

— A ja się boję — odrzekła kobieta — ta straszna otchłań mnie przeraża, ta przemoc żywiołowa wszystko łamie... i szczęście człowieka. Boję się, może dlatego, żem nadto szczęśliwa w tej chwili... przy boku mego Rizala...

I tuliła się do niego, szczęściem i trwogą jakąś zarazem przejęta.

Szli tak w milczeniu, wsłuchani tylko w szum bałwanów morskich, szelest wiatru i drgnienia własnych serc.

Rizal z rozkoszą spoglądał w nieskończoną dal oceanu... Myślą unosił się tam, hen daleko od gwaru ziemskiego, pragnąc tę pustkę dla oka zapełnić marzeniami wyobraźni, widokiem postaci ukochanej, dźwiękiem jej głosu, pieśnią jej słów — i patrzeć na nią, słuchać, wielbić...

Mieli już wsiadać na statek, gdy wtem zatrzymał się przed nimi zakryty powóz, wyskoczyło zeń kilku żandarmów i w jednej chwili porwali Rizala, wsadzili gwałtem do pojazdu i odjechali...

* * *

W Barcelonie zwołano sąd wojenny. Stawiono przed nim poetę, don Joze Rizala, za podburzanie swymi utworami do powstania na Filipinach.

Rozprawy trwały krótko; wyrok zapadł tej treści: „Don Joze Rizal za zbrodnię stanu zostaje skazany na rozstrzelanie“.

Po wysłuchaniu tych krótkich, lecz okropnych słów, znowu Rizal znalazł się sam w celi więziennej, z myślami tylko swemi...

A były to myśli straszne, tak straszne, jakie mieć tylko może człowiek pełen życia, rwący się z sił całych do szczęścia, a któremu powiedziano, że umierać musi, że wydrą mu gwałtem to jego życie...

Straszny dreszcz wstrząsnął jego ciałem: tam wre życie, tam szerokim potokiem płyną rozkosze świata — a on ma gnić w jakimś dole, zasypany piaskiem, gdzie robaki będą mu wyjadać oczy...

Zerwał się i jak szalony zaczął biegać...

— Nie, to okropne! — powtarzał — Ja chcę żyć, żyć, choćby cierpieć najstraszniejsze męki — konać, ale żyć!

Lecz śmierć nieunikniona — śmierć za to, że serce jego zadrgało litością na widok tych nieszczęsnych, co życiem chcieli okupić wolność i niepodległość.

Może za chwil kilka przyjdą, by zaprowadzić go na plac, gdzie kule pierś mu rozszarpią.

Wzdrygnął się i straszną otchłań nicości zobaczył przed sobą... Cisza była dokoła, słyszał tylko pulsu swego uderzenia. Chciał rozerwać się czemśkolwiek — spojrzał wokoło: nagie, smutne ściany i okno zakratowane — nic więcej. Chwycił obiema rękami za kratę — ani drgnęła; bił czołem, aż strumienie krwi popłynęły. Daremnie: głucho i pusto. Podły metal i on się uwziął na niego.

Rzucił się bezwładnie na tapczan i znow wzrok jego spoczął na tych ścianach ponurych... Och! Te mury więzienne! Gdyby one mówić umiały, wieleż cierpień ludzkich, wiele boleści wypowiedziećby mogły!...

Straszna otchłań, co rozwierała się przed jego przyszłością, skierowała jego myśli do dawnych lat... Przypomniał sobie dziecinne czasy, kiedy tak był szczęśliwy w domu rodziców — później, kiedy zdawało mu się, że raj się przed nim otwiera, gdy poznał i pokochał piękną Luizę. I stanęła mu przed oczyma jej urocza postać i zdawało mu się, że słyszy jej głos czarujący, że płynie z nią gdzieś w nieskończoność...

Rzucił się — ręka jego dotknęła zimnej i wilgotnej ściany — urocze marzenie znikło: znowu pozostały tylko nagie mury i okno zakratowane.

Począł dalej rozpamiętywać przeszłość — i ujrzał Luizę, jak stała na brzegu morza, przerażona, osłupiała, z załamanemi rękoma, gdy jego porwali i powieźli, by tu oto zamknąć, a potem rozstrzelać... I nigdy jej już nie zoboczy — nigdy! Nie! niech wydrą mu to życie, niech pierś jego rozszarpią kulami, ale musi on ujrzeć ją jeszcze, musi choć przed śmiercią nazwać ją swoją. Zanim poprowadzą go na plac stracenia, zanim padnie na ziemię w śmiertelnych konwulsyach, Luiza musi być jego żoną, musi powiedzieć jej na kolanach: Luizo, tyś moja na całe życie — tak! Na całe życie — które może tylko kilka godzin ma potrwać!...

Zerwał się z posłania i zapukał do drzwi.

— A co tam? — zapytał niedbale żołnierz.

— Dyżurnego oficera chcę widzieć koniecznie.

Po chwili wszedł oficer.

— Czego? — zapytał krótko.

— Chcę, jako skazany na śmierć, oznajmić swą ostatnią wolę: pragnę przed śmiercią połączyć się węzłem małżeńskim z moją narzeczoną, Luizą Taufers.

Oficer wzruszył ramionami i wyszedł, mrucząc coś pod nosem.

* * *

W ponurej kaplicy więziennej, skąd wynoszono zwykle tylko zmarłych więźniów, których śmierć uwolniła z więzów ziemskiej niedoli, odbywała się niezwyła tam uroczystość: w tym przybytku łez i śmierci przysięgało sobie przed Bogiem dozgonną miłość i wierność dwoje młodych ludzi. Lecz jakże smutną była ta ślubna ceremonia. Zamiast orszaku weselnego — straż więzienna, zamiast dźwięku organów — szczęk oręża, a na twarzach — nie radość ziszczonych nadziei, nie odblask szczęścia, lecz ponura, śmiertelna bladość...

Ceremonia skończyła się, kapłan odszedł — oni zaś łkając, padli sobie w objęcia — po raz pierwszy i ostatni w życiu...

— Więc teraz, Luizo — szeptał pan młody — teraz, kiedyś przed Bogiem moją na wieki, mam cię na wieki utracić... i nigdy już, nigdy nie oglądać tych oczu anielskich, nigdy nie słyszeć głosu twego?... Wszystko to zniknie, a pozostanie tylko pustka i cisza grobowa!... Luizo! Luizo! ty przyjdziesz na grób mój, prawda? Pod ziemią lżej mi będzie, gdy mej mogiły twe stopy się dotkną...

— Nie mów tak, nie mów... To okropne, ty nie pójdziesz ode mnie, nie wydrą mi cię, nie, nie! Ach! Boże, Boże! — wołała, łkając młoda oblubienica i padła bez zmysłów na ławkę.

Rizal ukląkł, okrywał pocałunkami jej ręce i stopy, tulił je do serca, które za chwil kilka miało zamilknąć na zawsze...

Wtem przed nim stanął oficer, a spojrzenie jego mówiło mu wszystko... Rizal zrozumiał, że chwila straszna nadeszła — zerwał się, spojrzał po raz ostatni na swą żonę... Ha! jeszcze karabiny zagrają mu *veni creator*... Wybiegł, nie patrząc na nic, a w uszach dźwięczały mu łkania i płacz Luizy.

Powiew wiatru orzeźwił go nieco. Szedł, jak automat, czuł, że jakaś siła nadludzka pcha go gdzieś w otchłań, a on oprzeć się jej nie może... Nie był w stanie zdać sobie sprawy, co się działo dokoła, miał świadomość tylko, że nogi tak samo stawia, jak przedtem, tak samo wciąga powietrze w piersi, a jednak tak dziwnie innym ten świat mu się wydaje... Widział go po raz ostatni... Za chwilę to jasne słońce, ta ziemia okryta kwieciem, te domy pełne gwaru i wesołości znikną dlań na wieki, a jedno słowo komendy wtrąci go w straszną, bezdenną przepaść nicości...

Kazano mu się zatrzymać — przed nim stał oddział żołnierzy. Objął jednym rzutem oka krajobraz, roztaczający się dokoła. Wszystko jaśniało weselem i szczęściem, pogoda była cudna, tak samo, jak i wtedy, gdy szedł z swą narzeczoną na brzegu morza, pełen nadziei, upojony nadmiarem szczęścia; tak samo, jak wówczas, lekki wiaterek muskał jego skroń — wszystko tak samo, a jednak jaka straszna, jaka okropna różnica...

Spojrzał przed siebie: oddział żołnierzy stał nieruchomie, jak martwa bryła, czekając na swą ofiarę.

I przyszła mu dziwna myśl do głowy: gdyby tak podszedł do tych ludzi i zapytał każdego z osobna, czy pragnie jego śmierci, otrzymałby z pewnością odpowiedź, że nie tylko nie chcą odbierać mu życia, ale nawet nie wiedzą, za co mają to uczynić..

I okropny żal ścisnął jego serce, żal nie nad sobą, ale nad tymi, co muszą mordować, nie wiedząc nawet, dlaczego to czynią.

Zawiązano mu oczy — i wszystko od razu dlań znikło na zawsze... Żył jeszcze, czuł pulsu swego uderzenia, a wiedział, że już nigdy świata nie zobaczy. Za chwilę głuchy łoskot wstrząsnie powietrzem, straszny ból poczuje w piersiach — i cisza, pustka na wieki...

— — — — — — — — — — — — —

Ozwał się głos komendy, karabiny błysnęły, niebieski dymek ukazał się przy lufach, ogłuszający huk rozległ się ponuro — i ciało skazańca zadrgało w śmiertelnych konwulsyach...

A słońce ozłacało ziemię swymi promieniami, wszystko żyło, weseliło się, jak gdyby nic strasznego nie zaszło na świecie... Tylko echo niosło głuchy łoskot wystrzału po przez lądy i morza, po przez gór szczyty i dolin przepaście, a dźwięk ten ponury zdawał się pytać: Jak długo jeszcze człowiek będzie mordował człowieka, brat brata, i przemoc dzika panować będzie nad światem?...

STANISŁAW SŁAWIECKI.

LIST.

FRAGMENT.

Przy szpitalnem łożu blada śmierć stanęła. Ostatnie myśli, jak rwące się nici pajęcze, podmuchem wiatru pędzone, uchodzące goniły życie...

— — — — — — — — — — —

...Piszesz mi, że cię ogarnął smutek i żal dziwny, że rozpacz straszną męką uczyniła twe życie... za śmiercią tęsknisz...

Piszesz mi, że los złośliwy zdeptał szczęścia kwiecie, że nie zawita już radości zorza...

Pytam cię: dlaczego? Czemu tak myślisz? Dlaczego straszną stwarzasz sama mękę, czemu goryczą poisz mię w ostatniej życia godzinie?

Odchodzę, prawda; lecz pomyśl, czyliż piękniejszy mógł być koniec życia? Nie, źle mówię... bo to egoizm szepce mi te słowa. Czyliż piękniejszy mógł być koniec pieśni, czy miłość mogła dać nam więcej nad to, co było już naszym udziałem?

Nie!... I ty w głębi swej duszy nie znajdziesz na to innej odpowiedzi; nie łudź się! Po co więc do dna wychylać szczęścia i radości czarę?... Czy po to, by na dnie rzeczywiście cynizm ujrzeć życia?

Odejdę; czuję to... za chwilę, za godzinę, dziś lub może jutro, lecz myśl ma do ciebie z oddali popłynie, u stóp twych legnie i będzie z tobą wiecznie.

Odejdę... a jakże lekką śmierć mi będzie, kiedy pomyślę, że miłość nasza trwać będzie jeszcze, że pozostanie przecudne wspomnienie... że w twem sercu żyć będę...

...że często myślą popłyniesz w te czasy młodzieńczych marzeń, w snów godziny, że cię tęsknota niespełnionych pragnień do snu utuli...

...że w załzawionych lazurach twych oczu zjawię się nieraz taki piękny, młody...

Pomyśl... siwizna przyprószy ci skronie, zmarszczki starości pokryją ci czoło... a wtedy... w śnie się zjawię w krasie młodzieńczej urody... zawsze twój...

...serca cię otoczę pieszczotą, tęsknotą myśli mych...

Odchodzę...

— — — — — — — — — — — — —

Białą, kościstą dłoń, śmierć na stygnącem położyła czole.

LISTY POLOWE Z BELGII.

M . . . ., 20 lutego.

Zastanawiałem się dziś długo i poważnie nad drobnostkami życiowemi, które ludzi tak często z równowagi wyprowadzają, przyczyniając się powoli do choroby nerwów, wkońcu łamią ludzi słabych — i pomyśleć, że nieraz takie błahostki bywają powodem zatracenia! Tego tematu dostarczył mi drobny, zwykły wypadek, który zdarzył mi się wczoraj wieczorem. Wysłano mnie do Ostendy za sprawunkami dla kompanii. Odwiozła mnie dwukonka i z tym samym woźnicą umówiłem się w mieście na pewną godzinę, by na mnie koło dworca czekał. Wracam, obładowany rozmaitościami, a tu niema pana brata, mimo dobrego napiwka nie zjawia się. Czekam pół godziny — nie zjawia się. Czas wracać, droga bardzo daleka, a tu koni ni woźnicy ani widać. Pogwizdałem na całą sprawę, bo poprostu nie umiem się przejmować takiemi bagatelami. Złość ludzka, nierzetelność, zawiedzione zaufanie łatwiej mogą mnie z równowagi wyprowadzić, ale nigdy taka głupia psota i nieporozumienie jakiebądź. Zabrałem się więc na piechotkę z wszystkimi pakunkami i niema złego, coby na dobre nie wyszło. Po drodze ulitował się nademną oficer w automobilu i miast sześć godzin wędrować, zajechałem sobie wygodnie w trzy kwadranse. I tak sobie rozmyślałem po cichu, że życie tyle przynosi człowiekowi przykrości, rozczarowań i niepowodzeń, że z tych wszystkich warto chyba nad bardzo małą cząstką rzeczywiście ważnych spraw wogóle się zastanawiać, inaczej już w pierwszej młodości trzebaby chyba osiwieć.

Dziś rano wyruszyliśmy w pozycye rowów strzeleckich. Lecz ponieważ na całej prawie linii panuje zastój w walce, która tylko ogranicza się do walk artyleryi, więc użyto nas do kopania rowów, reparowania starych i urządzania pod tymi rowami siedzib podziemnych dla walczących.

Wioska, w której leżymy, nie jest opuszczona przez ludność, jak wiele innych, szczęściem dla nas. Zostały jednak prawie tylko same kobiety, mężowie na wojnie lub pouciekali z obawy przed poborem. Biedny ten lud, który doczekać się nie może końca nędzy i niedoli. Ciągłe kwaterunki, jedni wychodzą, drudzy nastają na ich miejsca, a każdy pyta o żywność, której brak wielki...

Znalazłem dziś przy kopaniu pierwszy fiołek — zwiastun to wiosny. Bodajby dla świata i ludzkości wiosna nastała. Ale jeszcze nie czas, jeszcze sporo burz przetrwać nam trzeba. To słońce przyszłości jednak niech nam nadzieją będzie.

M . . . ., 22 lutego.

Od rana budujemy w S-P-C... szosy, z szaloną szybkością robota postępuje, żwawo, poprostu gorączkowo. Nieprzyjaciel niewiele w tych robotach przeszkadza, czasem tylko zabłąka się szrapnel jaki lub granat, ale to na pracujących żadnego wrażenia nie czyni. Wśród bagna i błota powstaje więc nowa droga bita, wspaniała, ważna arterya komunikacyjna.

Wracając, wstąpiliśmy znów do Ostendy na kąpiel do cudownego „Royal Palast Hôtel", urządzonego z wszelkim komfortem. Olbrzymi to gmach, wykwintny i gustowny, lecz jak straszny teraz przedstawia widok! Zniszczony zupełnie, wspaniałe dywany, kobierce, makaty i portjery wyścielają dziś mokre ściany rowów strzeleckich lub upiększają nory podziemne. W całym hotelu niema prawie jednej całej szyby, ani lustra, meble zdemolowane, nawet sukna z bilardów zdjęte i marmury potłuczone. Royal Palast Hôtel robi wrażenie dziś koszarowe, tylko bosa posadzka, gzymsy, reliefy i malatury świadczą o innem przeznaczeniu. Z balkonów drugiego piętra wspaniały widok na morze i długie, jasne wybrzeże piaszczyste, na którem skupiało się życie kąpielowe. Morze szemrze, wyrzuca fale z białymi grzbietami, a za niemi przestrzeń nieskończona lśniąca w słońcu, kraina zapomnienia, pokoju i szczęścia. Tu i tam sylwetka armaty, paszczą skierowana w przestrzeń morską, tę cichą, świetlaną. Pod wieczór wracaliśmy jeden za drugim gęsiego, długim wężem przez ulice wązkie, kręte. Pogoda wspaniała, niebo skrzące się gwiazdami, na wschodzie gasnące zorze w purpurze i fioletach. Zdala dochodził nas głuchy łomot dział niemilknących, jedyny znak wojny w tej ciszy na pozór pogodnej.

Szczególne wytwarza się usposobienie, gdy człowiek o sobie nie stanowi i nie działa z własnej inicyatywy, lecz gotów na wszelkie rozkazy i dyspozycye. Wyrabia się rodzaj beztroski i zobojętnienia pod względem życia czy śmierci. Jedną myślą jednak wszyscy żyjemy, jedna nuta wszędzie i zawsze dźwięczy: myśl o swoich, o ojczyźnie, o powrocie. Oddychamy nadzieją szybkiego końca tych doświadczeń i każy z nas z westchnieniem zdaje się pytać: „kiedy, ach kiedy?"

. . . . 24. lutego.

Dziwne zaiste okoliczności, w których zabieram się do listu. Od wczoraj wieczora siedzimy jak krety pod ziemią w nader prymitywnych norach, wyłożonych deskami. Leżymy przy wschodniem wybrzeżu kanału, tuż pod byłą wioską, byłą, bo dziś zrównana z ziemią. Gdzie okiem sięgniesz, wszędzie tu gruzy i ruiny dokoła, nie przepuszczono nawet drzewom. Teren cały, to mokradło straszne, ziemia ciężka, lepka, całemi funtami przylepia się do butów i uniemożliwia szybkie pochody.

Nasza siedziba chwilowa cztery metry długa, dwa metry szeroka, a metr wysoka, mieści w sobie całą grupę, t. zn. podoficera i ośmiu żołnierzy. Leżymy jeden obok drugiego, otuleni w dery i pokrycia namiotów, bo pałacyk nasz niezbyt szczelny i woda zacieka z wszystkich stron. Mała świeczka oświeca przestrzeń we dnie i w nocy. W rowach strzeleckich stoją tylko warty i karabiny nasze leżą nabite w wyłomach w pogotowiu, reszta przebywa cały czas w norach podziemnych. W nocy strzelano raz po raz tak z przyzwoitości, bo nic wypada inaczej, tymczasem od samego rana wre wściekła kanonada. My cichutko jak trusie siedzimy w samym środku, bo gdy tylko ktokolwiek nosa wychyli, dostajemy całą salwę granatów i szrapneli. Trudno nas tu sięgnąć, bo kryjówki sprytnie założone, za to celny strzał zagraża od razu całej grupie. Słuchamy tedy tej muzyki wspaniałej choć groźnej, pompatycznej, a stanowczej, odróżniając dokładnie kalibry, strzały bateryi niemieckich od francusko-angielskich. Po każdej eksplozji zadygocze powietrze, aż świeczka nasza zlęknie się i już, już zdaje się mieć ochotę wypowiedzieć nam posłuszeństwo i pogrążyć nas w ciemnościach egipskich.

Najgorsza ta niewola ruchów: by sięgnąć do tornistra po kawałek chleba trzeba molestować prawego i lewego sąsiada. Usiąść nawet trudno, bo zaraz penc! głową o sufit. Z upragnieniem oczekujemy wieczora, raz, że wieczór kładzie kres tak do ekscesu nieprzyzwoitej kanonadzie, a powtóre, że gdy tylko możliwe, dojeżdża kuchnia polowa z ciepłą strawą, raz na dzień. Tylko o uśnięciu mowy niema, bo trzeba Ci wiedzieć, że do wrażeń mniej przyjemnych należą setki szczurów wodnych, które tu tak się rozpanoszyły, że uzurpują sobie prawo nietylko do poległych, ale i do nas. Zwykle jeden z nas musi czuwać, by bronić obcych nosów i uszu.

Powietrze też nie świetne już choćby dla tego samego, że brak wszelkiego urządzenia, któreby w przybliżeniu wentylacyą nazwać można. Zawsze lepsze to, aniżeli niektóre miejscowości, kędy wczoraj przechodziliśmy: powietrze zgniłe, stęchłe, cuchnie zewsząd padliną niepochowanych trupów, które grzęzną w błocie i których często mimo najlepszych chęci usunąć nie można. Takie nasze przyjemności. Notabene muszę Ci powtórzyć, co mi tu jeden z kolegów opowiadał. Ciekawe epizody, jak między stronami wojującemi stanął niemy układ, by w pewnych okolicznościach nie strzelać i nie napastować przeciwnika. To znów innym razem urządzają sobie zabawkę, rodzaj sportu, n. p. wysuwa się z rowu jakaś głowa na sekundę, pif, paf! z przeciwnego rowu, znów ci pierwsi dają następnie znać, czy strzał był trafny, czy nie...

Szpital forteczny nr. 6 w Krakowie.

Jednym z najlepiej urządzonych szpitali fortecznych w Krakowie jest szpital nr. 6. Obejmuje on szereg budynków (Misyonarze, klasztor Bernardynów, szkoła na placu Bernardyńskim, szkoła na Smoleńsku, Muzeum przemysłowe, klasztor Felicyanek). Główny budynek, mieszczący również i kancelarye zarządu szpitala, to Seminaryum duchowne pod Wawelem.

Śliczny ten gmach, jakby umyślnie budowany dla celów nawet klinicznych, w zdrowem zacisznem miejscu, wśród plant, składa się z sal wprost idealnie położonych co do rozkładu chorych.

Tu mieszczą się wspaniałe, duże sale operacyjne, jedna dla operacyi t. zw. asseptycznych (czystych) druga septycznych (ropnych). W środku między temi salami znajduje się sala opatrunkowa. Sale te zaopatrzone są we wszelkie możliwe ulepszenia nowoczesne, na które zarząd wojskowy nie poskąpił wydatków. Salę asseptyczną wyposażył swoimi instrumentami i całem urządzeniem jeden z lekarzy szpitalnych.

Obok sal operacyjnych jest sala dla prześwietlania promieniami Roentgena, urządzona i wyposażona przez prof. szkoły realnej Paczowskiego.

Znakomita opieka, czystość, dobra kuchnia, wzorowy porządek, troskliwość, cechują ten szpital. To też zarząd szpitala otrzymuje mnóstwo podziękowań listownych od byłych pacyentów, a władze wojskowe po każdej wizytacyi stawiają budynek ten jako wzór prowadzenia szpitala.



Z oswobodzonego kraju: Powrót uchodźców do Stróżówki pod Gorlicami.



Szpital forteczny Nr. 6 w Krakowie: Lekarze i pielęgniarki głównego budynku (Seminaryum duchowne).

Komendantem szpitala jest lekarz sztabowy, doktor Baxa, sprężysty, energiczny, dobry dla chorych i troskliwy o każdego pacyenta. Lekarzem naczelnym w Seminaryum jest dr. Stanisław Kwiatkowski z Krakowa. Otacza on chorych troskliwą opieką i dokonał ogromnej ilości operacyi z wspaniałym wynikiem.

Tutaj pracuje także jako drugi lekarz, znany praktyk z Nowego Sącza, dr. Ameisen, który oddaje poważne usługi przy rozpoznawaniu chorób z zakresu wewnętrznego.

W innych budynkach szpitala fortecznego Nr. 6. opieka lekarska spoczywa w rękach drów: L. Wilczyńskiego, J. Bogdanika, Glassnera, Tamankiewicza, Macieszyna i Aronsohna.



Z oswobodzonego kraju: Rynek w Gorlicach.

Na Czerwony Krzyż.

Na rzecz Opieki wojennej i humanitarnego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“ odbywają się w całym kraju koncerty i widowiska, z których dochód przeznaczonym jest na zasilenie funduszów tych instytucyi, zajmujących się losem rannych i chorych żołnierzy, jak również wdów i sierót po poległych.

Cały szereg najwybitniejszych artystów bierze w nich bezinteresowny udział, aby w ten sposób przyczynić się do szlachetnego celu, między popisującymi się widzimy nazwiska o europejskiej sławie.

I Kraków, aczkolwiek czasy są coraz cięższe, nie pozostał w tyle. Dzięki szlachetnej inicyatywie osób, zajmujących się dolą żołnierzy, zmagających się z wrogami państwa i kraju, urządzono już kilka koncertów, które udały się pod każdym względem, co zachęciło inicyatorów do dalszych prób w tym kierunku.



Na Czerwony Krzyż: Siostry Morini.

Jak się dowiadujemy, grono poważnych osób czyni starania o urządzenie w początkach lipca na ten sam cel koncertu, w którym, prócz innych renomowanych artystów, wezmą udział Wiedenki, Morini, ośmioletnia skrzypaczka Eryka i jej siostra Alicya.

Obie artystki występowały już z dużem powodzeniem w różnych miastach monarchii, grając na dochód komitetu Opieki wojennej, wszędzie też zdobyły sobie uznanie fachowej krytyki i muzykalnej publiczności.

Kronika tygodniowa.

Jako spokojny obywatel, wiedzący o tem, że wszelka władza, więc i magistrat, pochodzi od Boga, należy więc być zawsze i wszędzie posłusznym jej zarządzeniom, chcąc pozatem dać piękny przykład innym współobywatelom, wody absolutnie nie piję, koni nie pławię i sam się nie kąpię, bo to strzeżonego Pan Bóg strzeże, a ludziska powiadają sobie, że „we Wiśle cholera się utopiła!"...

Doszło do tego, że na widok choćby tylko szklanki wody doznaję takiego rozdrażnienia, iż przeraziło to nawet moją najdroższą Weronisię, która w żaden sposób nie chciałaby zostać wdową, gdyż, jak sama powiada „w czarnym kolorze nie jest jej wcale do twarzy..."

Obleciała wszystkie sąsiadki z pierwszego i drugiego piętra, zawadziła nawet o oficyny, ponieważ zaś, jak ogólnie wiadomo, każda kobieta jest urodzoną, choć nie dyplomowaną lekarką, orzekły, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż cierpię na wodowstręt, co jest urzędowo zakazanem i mogłoby się nawet stać dla otoczenia niebezpiecznem.

— Wie kochana pani — doszło do mych uszu — mój biedaczek nawet widoku wody nie znosi, zaraz zaczyna się pienić i rzucać!

— O źle, moja pani! — odpowiada na to pani radczyni (mąż jest tak zwanym „radcą dziadowskim", czyli opiekunem ubogich wdów i sierót z ramienia magistratu).

— Domu się nie trzyma... — ciągnie dalej moja poczciwota — i...

— Jeszcze gorzej! — konkluduje pani oficyałowa — Powiadam pani, niech mu pani kupi kaganiec! Jeszcze kogo pogryzie... Trzeba dać znać panu fizykowi... A nie szczeka przypadkiem? Bo wtedy, toby już nie było żadnego ratunku...

— Tego nie zauważyłam, choć przyznam się pani, że w nocy słyszałam jakieś podejrzane głosy, dochodzące z jego łożka...

Stanęło ostatecznie na tem, że należy mnie poddać badaniu, wyłoniła się jednakowoż różnica zdań, kogo wezwać, lekarza, czy weterynarza.

— Bo to uważa kochana pani — mówiła pani sekretarzowa — weterynarz lepiej się zna na wściekliźnie, niż lekarz!

Słyszac to, miałem ochotę wpaść między baby i urządzić im taką awanturę, iżby ją popamiętały bodaj ruski miesiąc, bałem się przecież, iż w ten sposób pogorszę tylko sytuacyę, orzekną bowiem, że jestem wściekły i to w ostatniem stadyum choroby i kto wie, jaki los mnie czeka! A zauważyłem, że każda z sąsiadek, ilekroć spotka mnie na ulicy, schodzi mi z drogi i zmyka, jakby dyabeł przed święconą wodą.

Na drugi dzień, gdym jeszcze leżał w łóżku, przyszedł lekarz, tłumacząc się, że wpadł tylko, przechodząc, aby się dowiedzieć, jak też kochani państwo się mają.

— Całkiem dobrze! — odpowiedziałem z pod kołdry — Teraz chorować mogą tylko bogaci, a nie takie dziady, jak my.

— A może tobie, kotusiu, co dolega? — pyta moja lepsza połowa.

— Nie! — odrzekłem lakonicznie.

— A czy nie napiłbyś się przypadkiem wody?

— Czyś zwaryowała? — wrzasnąłem, nie robiąc sobie nic z obecności eskulapa.

— A widzi pan konsyliarz! — żona moja na to.

Medicus zrobił minę seryo, poprawił okulary, pogładził łysinę i zaczął mnie badać, pukać i macać, kazał sobie pokazać język, który ze złości wywaliłem, jak mogłem najdalej.

Pokiwał głową, wreszcie rzekł:

— No, dzięki Bogu, żeście mnie państwo dość wczas wezwali... Jeszcze będę mógł biedaka uratować!

— Ależ, do pioruna! Mnie nic nie brakuje...

— Być może! Bardzo być może! Zapiszemy tu panu proszki i miksturkę i zaraz się wszystko zmieni. Jutro tu będę... Gdyby jednak stan się pogorszył wcześniej, proszę mi dać znać...

Poszedł, a ja na odchodnem pomyślałem tylko, jako dobrze wychowany człowiek: „Daj się pan wypchać swymi proszkami i wymalować miksturkami. Ja tego do ust nie wezmę, bo mi życie miłe! Mam umierać, to niech ginę naturalną śmiercią!"

I tak się też stało... Niech jednak kto nie myśli, że może umarłem, gdyż w takim razie nie byłoby kroniki, nie zażyłem tylko owych medykamentów i jestem zdrów, ale wody nie piję, choć żona i córki patrzą na mnie ciągle z podełba i, ilekroć wpadnę w pasyę, a dość często mi się to zdarza, zajmują miejsca w bezpieczniejszym odcinku, to jest koło drzwi.

Co jednak pić, gdy człowiek ma pragnienie? Wody się nie powinno, a piwa nie można, bo coraz gorsze i droższe, jeśli więc umrę z pragnienia, to nie moja wina, ale fizykatu, od którego też wówczas zażądam odszkodowania, naturalnie w gotówce, bo teraz pieniądze to grunt!

A kto wie, czy wkrótce i piwa nie braknie!... Dawniej, ludzie byli w szczęśliwszem położeniu, zwłaszcza wtedy, gdy żył Mojżesz. Uderzył w skałę laską i sikła woda, dziś wal, choćby parasolem, a skutku nie będzie. A takby się nam zdał teraz taki cudotwórca, któryby mógł dostarczył za tanie pieniądze prazdroju pilzneńskiego lub choćby okocimskiej wilgoci!...

Zrozpaczony więc i spragniony oddaję się teraz więcej gorączkowo życiu publicznemu. Onegdaj wziąłem też udział w walnem zgromadzeniu „Towarzystwa wzajemnej pomocy starych panien, mających ochotę do stanu małżeńskiego", które zwłaszcza w tych czasach, gdy tylu młodych ludzi zginęło na placu boju, ma szczególniejszą racyę bytu. Jestem jego honorowym członkiem wspierającym, to jest takim, który wkładek nie płaci.

Trzeba zaś wiedzieć, że w łonie Towarzystwa owego panuje od dłuższego już czasu rozdwojenie, członkinie bowiem utworzyły dwie zwalczające się namiętnie frakcye, z których jedna chce drugą przegadać. Do pierwszej należą te, które nie zrezygnowały jeszcze z rozkoszy małżeńskich, do drugiej takie, które już utraciły wszelką nadzieję, nie miałyby przecież nic przeciw temu, gdyby się tak coś trafiło.

Przewodnicząca, zagajając posiedzenie, powitała najpierw gości, specyalnie mnie odróżniając, następnie zaś wezwała do odczytania przygotowanych referatów.

W tej jednak chwili zerwały się z miejsc wszystkie referentki i każda chciała pierwsza głos zabrać. Zdawało mi się, że jestem u stóp wieży Babel, kiedy to pomieszały się ludziom języki, zatkałem też uszy i już miałem dać drapaka, przytrzymała mnie jednak za połę surduta sekretarka, gdy tymczasem przewodnicząca przekonywała szanowne zgromadzenie, że można mówić, ale nie razem, lecz po kolei, a jest dość czasu, każda więc będzie się mogła należycie wygadać.

Dużo czasu minęło, zanim się jej to udało. Pierwsza zabrała głos przedstawicielka pierwszej grupy, panna Mężolubska i wygłosiła referat na temat: „W jaki sposób możnaby dopomódz usychającym z tęsknoty dziewicom do wejścia w związki małżeńskie".

Sądzę, że to zaciekawi Czytelników, podam też krótką treść przedłożenia.

Prelegentka, współczując z wielu towarzyszkami niedoli, które nie mogą się doczekać spełnienia swych pragnień, a chcąc sobie i im ułatwić wyjście za mąż, proponuje:

1) Każdy mężczyzna, uznany przez komisyę poborową, w skład której z urzędu wchodzić ma delegatka Towarzystwa z głosem decydującym, za zdolnego do stanu małżeńskiego, ma być przeznaczony do losowania.

2) W tym celu na każdego z nich przeznacza się po tysiąc losów, każdy w cenie dziesięciu koron, które mogą kupować, ale tylko niezamężne niewiasty, tak panny, jak i wdowy.

3) Gdy wszystkie losy na poszczególnego osobnika zostaną za gotówkę rozsprzedane, odbędzie się wobec c. k. notaryusza losowanie. Właścicielka losu, na który padnie wygrana, otrzymuje męża, a wraz z nim dziesięć tysięcy koron za sprzedane losy. Kwoty tej ma młode stadło użyć na usłanie sobie gniazdka.

4) Rozwód mógłby nastąpić tylko z bardzo ważnych powodów i to nie wcześniej, jak po dziesięciu latach, licząc od dnia ślubu.

5) Gdyby okazało się, że właścicielem wygrywającego losu jest mężczyzna, któryby w ten sposób chciał zdobyć pieniądze, ale bez dodatku żony, w drodze przymusowej zostanie zaślubiony z najstarszą z członkiń Towarzystwa.

6) Każda z członkiń może nabywać większą liczbę losów na różne męskie osobniki, w razie zaś gdyby kilka na nią padło wygranych, może sobie wybrać tylko jednego męża, gdyż wielożeństwo jest u nas ustawowo zakazane. Inne, przypadające na nią wygrane, przechodzą na własność Towarzystwa i zostaną rozlosowane pomiędzy te z członkiń, które w grze dotąd szczęścia nie miały.

7) Statut nowej loteryi małżeńskiej wchodzi w życie z chwilą zatwierdzenia go przez c. k. Namiestnictwo.

Projekt ten wywołał niebywały entuzyazm wszystkich, bez względu do której grupy należały, kilkadziesiąt obecnych zapytywało, kiedy można będzie nabywać losy. Projektodawczynię postanowiono zamianować członkinią honorową Towarzystwa i wziąć udział gremialnie w jej ślubie, gdyby tak los padł na nią.

Przedstawicielka drugiej partyi, do której należą te zrezygnowane, omawiała sprawę, czy nie należałoby uformować na czas wojny legionu amazonek, któryby w najbliższym czasie wyruszył na plac boju, naturalnie po należytem wyćwiczeniu przez wykwalifikowane siły wojskowe. W tym celu należy się zwrócić do komendy, aby przysłała odpowiednich instruktorów.

— A nuż, moje panie — kończyła tęsknym głosem — znajdzie tam która z nas swego niewolnika?

Gdy poprzedni wniosek przyjęto bez dyskusyi, nad tym wywiązała się dłuższa debata. Panna Cnotliwska była zdania, że ostatecznie możnaby i tego sposobu spróbować, skoro inne już zawiodły, ale to nie wypada, by mężczyzna i do tego wojskowy, miał być nauczycielem damskiego legionu.

Zakrzyczały ją jednak inne, odsyłając projekt do komisyi, która ma się zastanowić, w jaki sposób całą sprawę przeprowadzić, by można było wyruszyć jeszcze przed końcem wojny na plac boju. Należy bowiem korzystać ze sposobności, jaka się chyba nie tak prędko zdarzy. Postawiono za warunek, iż każda z amazonek, która zdobędzie sobie niewolnika i wróci z nim, otrzyma medal za waleczność z odpowiednim dodatkiem w gotówce, mającym być użytym na opędzenie pierwszych potrzeb domowych. O fundusze należy się równocześnie postarać i w tym celu zwrócić niezwłocznie do ministerstwa wojny i obrony krajowej, jako najbardziej w tym względzie interesowanych.

Zakończono posiedzenie starcpolskiem „Kochajmy się", poczem zgromadzone rozeszły się do domów pełne najlepszych nadziei.

Według zapewnienia prezesowej przybyło Towarzystwu w kilku dniach po posiedzeniu kilka tysięcy członkiń, komisya losowa i legionowa pracują w pocie czoła, by jak najprędzej przyjść przed następne walne zgromadzenie z zupełnie realnymi już wnioskami, które uchwalone zostaną *en bloc*.

Sprawa to dla społeczeństwa naszego nadzwyczaj żywotna, nic też dziwnego, że poświęciłem jej tyle miejsca i atramentu, tak, że obawiałem się już, że nie będę mógł poruszyć innych punktów.

Przedewszystkiem więc muszę wspomnieć o panu Hardenie, który znów zabrał głos, tym razem w obronie króla włoskiego, tłumacząc społeczeństwu, że on nie jest wcale wiarołomcą, zdradzającym swych sojuszników, ale bardzo praktycznym człowiekiem, umiejącym tylko korzystać ze sposobności.

Pozazdrościł widocznie laurów d'Annunziowi i żal mu było, że o tamtym piszą, a nie o nim i dlatego przemówiła oślica Balaama.

W dalszym ciągu muszę wyrazić zdziwienie, że Warszawianki narzekają na biedę i ciężkie czasy. Sytuacya, jak widzę z artykułu, ogłoszonego w „Czasie" p. t. „Z zapisków domowych w Warszawie", nie jest wcale tak krytyczną, skoro można spożywać takie smakołyki, na jakie my pozwolić sobie nie możemy.

Czytając o tych omlecikach, konfiturkach i t. d. tak się oblizywałem, iż moja zacna Weronisia znowu poważnie zaniepokojoną była o moje zdrowie i zapytała troskliwie:

— A możebyś się napił szklaneczkę wody?

Popatrzyłem na nią wzrokiem bazyliszka, któremu słoń nadeptał na ogon, chcąc jej w ten sposób wyrazić swe ubolewanie, iż, choć żyjemy ze sobą już od lat trzydziestu, nie wie jeszcze, że na mnie woda działa tak, jak nie przymierzając czerwony kolor na hiszpańskiego byka lub wspomnienie nazwiska Hindenburga lub Mackensena na wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, przenoszącego się podobno w dobrze zasłużony stan spoczynku ze względu na zdrowie, nadwyrężone w galicyjskiej kampanii.

A propos mojej małżonki muszę nadmienić, iż kilku już Czytelników, a także Czytelniczek zwróciło się do mnie z zapytaniem, czy ja naprawdę jestem żonaty, tak, jakby to można było zrobić „na żarty".

Niestety! Tyle im tylko odpowiedziałem, słowo to przeczytać jednak muszą z tak tragicznym akcentem, z jakim je napisałem.

Jedna z Czytelniczek zauważyła, może i słusznie, że jestem czasem za wesoły, jak na człowieka żonatego, odpowiedziałem jej zaraz, że ja wesołość tylko udaję, w gruncie bowiem rzeczy jestem hipochondrykiem, tetrykiem, melancholikiem i t. d.

Proszę zresztą zapytać o to moją żonę, a ona to słowo w słowo potwierdzi!

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył St Ekier, wychodźca z Krakowa.

Pierwsze-trzecie to litery,
Drugi sił dodaje,
Niejeden z nas z biciem serca
Do *całości* staje
Trzeci (bez jednej litery)
Z czwartym-piątym szkodzi,
Całość dla najstarszych mężczyzn
Już wkrótce nadchodzi.

Łamigłówka.

Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Każdy z podanych wyrazów zmienić na inny, nic nie dodając, ani odejmując, tak, aby pierwsze litery nowopowstałych wyrazów, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko współczesnego polskiego powieściopisarza.

Nosal
Esy
Sezon
Dopust
Worek
Pale
Kreda
Pasza
Arka
Miody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko współczesnego polskiego malarza

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Zatrzymanie okrętów nieprzyjacielskich. 3 Miara powierzchni. 4. Tureckie imię męskie 5. Kościół. 6. Nakrycie głowy. 7. Wykrzyknik. 8. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył Ludwik Otyły z Tarnowa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

— ran
o — et
ka – a
ech —
ra i
k - ło
oki
i - is
kr s
ede —
er s
l — na
— ara
k – ół
wa a
let —
ra — a
s — on
- laz
o — eg
br – t.

Przysłowiówka.

Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe polskie przysłowie:

1. Choć ubogo, lecz chędogo.
2. W braku chleba dobry i opłatek.
3. Pies psu ogona nie urwie.
4. Syty głodnemu nie wierzy.
5. Czem chata bogata tem rada.
6. Plecie, jak Piekarski na mękach
7. Mądry głupiemu ustąpi.
8. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.
9. Żaden uczony z nieba nie spadnie.
10. Co dobre, to rzadkie
11. Kulczyk w uchu, pustki w brzuchu.
12. Cicha woda brzegi rwie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Maki, pył, ryś, sąg, wóz.

Zadanie konikowe.

Ułożył R. K., Krościenko n. D.

nam	choć	nigdy	mi	leść	u	znie	nie
kiem	wa	ną	czas	nie	łość	bo	bie
stoi	zo	bra	świę	bu	nam	pod	chę
się	wier	dzi	się	rze	ci	gnie	cia
sta	o	bu	kną	u	rzom	ci	le
ście	dnym	ma	praw	choć	ry	ży	bieg
trzy	rie	nie	niu	su	wa	ga	w za
ża	szczę	prze	w ra	zmia	ćmie	cza	dach

Okienko.

Ułożył Sz. Kiliński, Nowy Jiczyn.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a e
e k k k l
l l l
o o w w w

Znaczenie wyrazów: 1 Rzemieślnik 2. Wzgórze nad Wisłą 3 Zabawa

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bieda! Szczur powala oba dęte psy i jaśmin.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Remigiusza Kwiatkowskiego:* **Chtaknnin-Isszu.** Antologia stu poetów japońskich

Rozwiązanie zagadek z Nr. 24.

Przysłowiówka: Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

Łamigłówka:

Mara
Aron
Cera
Kora
Egon
Nora
Sara
Emir
Nero

Kwadrat magiczny:

A d a m
D a m a
A m o r
M a r a

Przysłowiówka: Dobry golarz i kiełbasą ogoli.

Logogryf:

O h o
g l e b a
P a r j a s y
B o l e s ł a w a
B a r t o s z
b a r o n
A z a
e
u l e
J a c e k
s a t y r y k
p i e r w o t n y
s t a r o ś ć
s z a t a
i z y

Zadanie do przestawienia: Co zanadto, to i świnia nie chce.

Równanie:

Gaza + chałat + rydel + agrest + tasiemiec + Lwowicz = = Zacharyasiewicz.
Jełowiec + rezeda + maliny = Jarema.
Renety + cytryna + planeta = Renata.

Zadanie do przestawienia: Dłużej klasztora niż przeora.

Bilety wizytowe: Kaznodzieja. Gladyator. Koadjutor. Sekwestrator. Marynarz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno. S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha. S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor - Ostrawa, S. Grodzicki Praga, L. Kinalski Praga, Z Szymanek Nowy Sącz, Henryk Królicki Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. S. **Osadowska, Rzeczyca.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Czwarty numer „Nauczycielki“ wyszedł z druku 3-go czerwca i zawiera szereg artykułów aktualnych, obejmujących sprawę naukowych i wychowawczych zagadnień w rodzinie i szkole.

1) Walka w przyrodzie i w społeczeństwach ludzkich — ks. Hortyński.
2) Katolickie nauczycielki w Niemczech wobec wojny — dr. Marya Estreicherówna.
3) O wyborze książek dla dzieci i młodzieży — Zofia Worczyńska.
4) Szkoła pracy — Aniela Kopaczówna.
5) Listy do matki — Prevosta.
6) Polskie dziewczęta w dniach wojny — Józefa Barańska.
7) Z czasopism polskich doby wojennej — Marya Szarłowska.
8) W rozmaitościach ważnym jest artykuł p. t. „Fotografia w ręku nauczycielki“.
9) Z niedoli tułaczej.

Ogłoszenia zaginionych dopełniają reszty.

„Nauczycielka“ zyskuje coraz życzliwsze poparcie wśród społeczeństwa i staje się pismem posiadanem tak w każdej rodzinie, jak i w szkole. Cena roczna 5·50 kor. Adres: Kraków, ul. Karmelicka l. 32.

Głosy publiczne.

Konkurs. Wobec doniosłych zadań, jakie czekają nauczycielstwo polskie przy rozpoczęciu pracy wśród ludu, redakcya **„Nauczycielki“** ogłasza konkurs na napisanie dwu rozpraw, dotyczących najważniejszych zagadnień obecnej doby:

I.) Przemysł domowy w przełomowej chwili zniszczenia kraju.

II.) Opiekuńcza praca nauczycielki poza szkołą.

Objętość każdej pracy nie może przenosić **jednego arkusza druku.**

Nagroda konkursowa za pracę, uznaną jako najlepszą, wynosić będzie po **koron 50.**

Termin do nadsyłania prac ściśle oznaczony na dzień 1-go sierpnia b. r., a to dlatego, ażeby już we wrześniu można rozpocząć druk prac nagrodzonych. Redakcya „Nauczycielki“ zaprasza gorąco do wzięcia udziału w wypowiedzeniu uwag, planów i rad nad rozwojem przemysłu domowego i opieką wśród ludu, który przeżył i przecierpiał wiele. Redakcya zastrzega sobie prawo druku prac wyszczególnionych i uznanych za pożyteczne.

Prace nadsyłane muszą być podpisane imieniem i nazwiskiem autorów, oraz adresem dokładnym, ponieważ ze względów cenzuralnych w zaklejonych kopertach nazwisk nie można podawać.

Skład komitetu sądu konkursowego będzie ogłoszony w sierpniu. Wszystkie polskie pisma prosimy o powtórzenie tego wezwania.

Za „Zrzeszenie polskich nauczycielek katolickich“: *Joanna Pogonowska,* prezesowa, *Jadwiga Strokowa,* redaktorka „Nauczycielki“.

Adres: Kraków, ul. Karmelicka l. 32, Administracya „Nauczycielki“.

Od Administracyi.

W myśl odezwy zamieszczonej w numerze 18 *Nowości Illustrowanych* z dnia 1 maja o składanie ofiar na rzecz Naczelnego Komitetu Opieki nad byłymi Legionistami oraz wdowami i sierotami po poległych Legionistach, który po ukończeniu wojny przeobrazi się w trwałe stowarzyszenie na wzór Towarzystwa uczestników powstania z roku 1863 — nadesłał na nasze ręce W. Pan Eugeniusz Kessler, inżynier z Wadowic koron 50 (pięćdziesiąt),

W dalszych składkach pośredniczy chętnie Administracya naszego pisma.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.